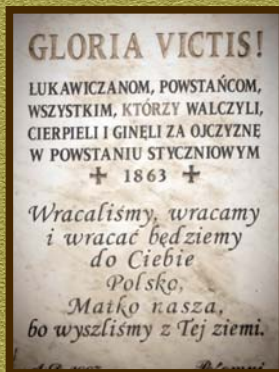




Mogiła powstańców w Pierieciosach
- fot. Elżbieta Mućko



Tablica w Łukawicy
- fot. Maria Włodarczyk



Kaplica św. Anny w Królówym Moście
- fot. Halina Szymańska

(Nie)zapomniane – Kobiety z Podlasia na przystankach Powstania Styczniowego



W Pierieciosach
- fot. Bożena Śmietalo



Kładka w Pierieciosach
- fot. Danuta Legun



Mogiła powstańców w Kołodnie
- fot. Halina Szymańska



Tablica - bitwa pod Waliłami
- fot. Alina Kalbarczyk-Murawska



Pomnik w Łukawicy
- fot. Daniela Wasilewska



Białystok, 2023



(Nie)zapomniane – Kobiety z Podlasia
na przystankach Powstania Styczniowego
Projekt realizowany
przez Caritas Archidiecezji Białostockiej.
**Zadanie publiczne jest finansowane
ze środków Województwa Podlaskiego.**



**(Nie)zapomniane
– Kobiety z Podlasia
na przystankach Powstania Styczniowego**

Białystok, 2023

Wydawca: Caritas Archidiecezji Białostockiej
Egzemplarz bezpłatny

Wersja elektroniczna jest dostępna na stronie:
<https://caritas.bialystok.pl/niezapomniane-kobiety-z-podlasia-na-przystankach-powstania-styczniowego/>
<https://kazimierz.archibial.pl/senior.php>

Projekt okładki: Jerzy Barańczuk, Marian Olechnowicz

Skład komputerowy: Jerzy Barańczuk

Opracowanie merytoryczne: uczestnicy spotkań senioralnych przy Rzymskokatolickiej parafii św. Kazimierza w Białymstoku

Opieka edytorska: Marian Olechnowicz

Warsztaty historyczne: Marian Olechnowicz

Warsztaty kreatywne: Beata Bolesta

Koordynator projektu: Elżbieta Węgierska

Korekta: wykonana zespołowo

Druk i oprawa: druk-24h

Fotografie pochodzą z albumów rodzinnych osób, których biografie znalazły się w tej publikacji. Autorzy dziękują za ich udostępnienie

Nakład: 300 egzemplarzy

Na okładce, fot. Stanisława Maksimowicz z dziećmi,
z albumu Cezarego Maksimowicza

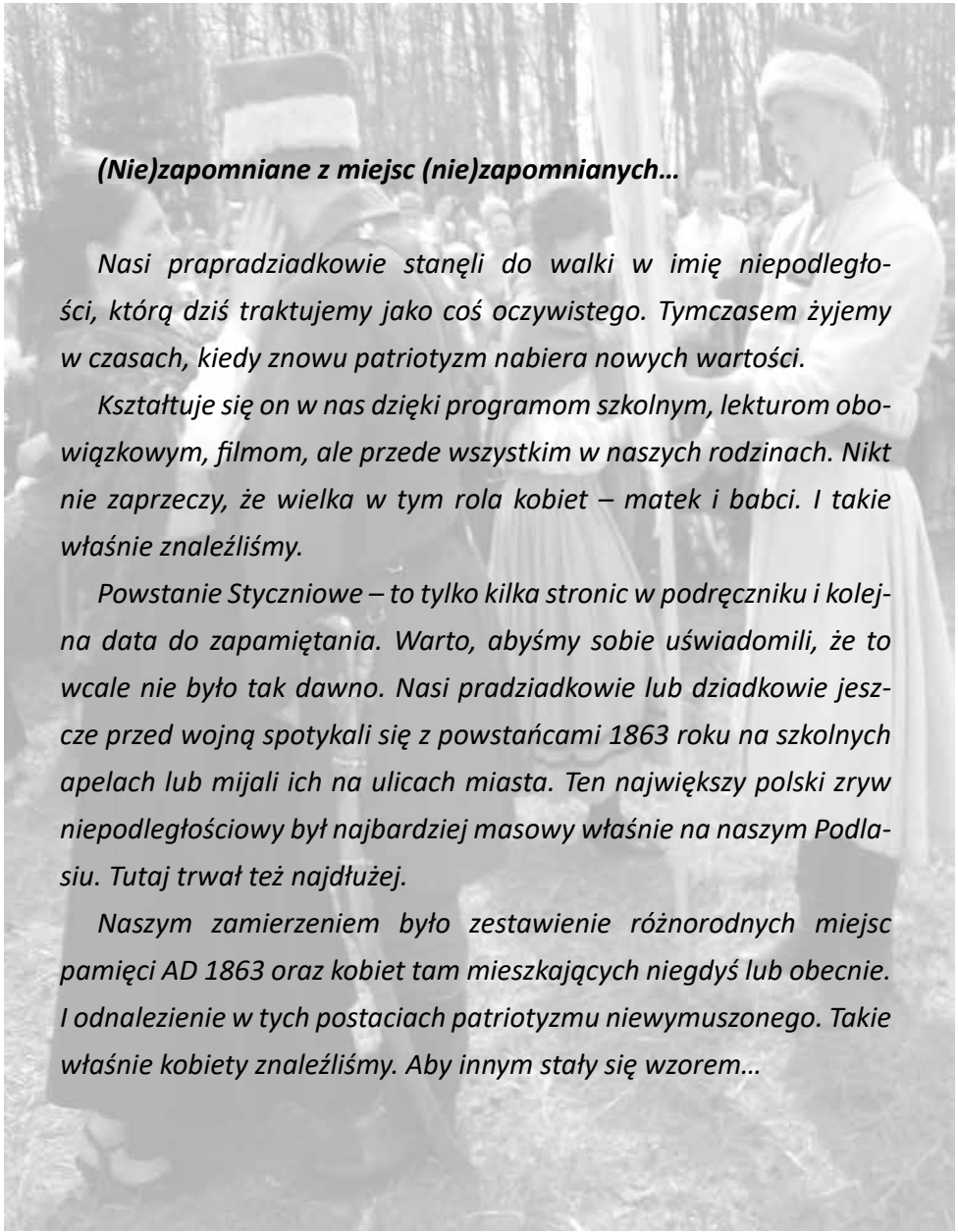


ARCHIDIECEZJI
BIAŁOSTOCKIEJ

(Nie)zapomniane – Kobiety z Podlasia
na przystankach Powstania Styczniowego
Projekt realizowany
przez Caritas Archidiecezji Białostockiej.
**Zadanie publiczne jest finansowane
ze środków Województwa Podlaskiego.**



Podlaskie



(Nie)zapomniane z miejsc (nie)zapomnianych...

Nasi prapradziadkowie stanęli do walki w imię niepodległości, którą dziś traktujemy jako coś oczywistego. Tymczasem żyjemy w czasach, kiedy znowu patriotyzm nabiera nowych wartości.

Kształtuje się on w nas dzięki programom szkolnym, lekturom obowiązkowym, filmom, ale przede wszystkim w naszych rodzinach. Nikt nie zaprzeczy, że wielka w tym rola kobiet – matek i babci. I takie właśnie znaleźliśmy.

Powstanie Styczniowe – to tylko kilka stron w podręczniku i kolejna data do zapamiętania. Warto, abyśmy sobie uświadomili, że to wcale nie było tak dawno. Nasi prapradziadkowie lub dziadkowie jeszcze przed wojną spotykali się z powstańcami 1863 roku na szkolnych apelach lub mijali ich na ulicach miasta. Ten największy polski zryw niepodległościowy był najbardziej masowy właśnie na naszym Podlasiu. Tutaj trwał też najdłużej.

Naszym zamierzeniem było zestawienie różnorodnych miejsc pamięci AD 1863 oraz kobiet tam mieszkających niegdyś lub obecnie. I odnalezienie w tych postaciach patriotyzmu niewymuszonego. Takie właśnie kobiety znaleźliśmy. Aby innym stały się wzorem...



W realizacji projektu udział wzięli:

Chłus Maria

Dryglas Celina

Gotlib Benedykta

Jaworowska Wiesława

Kalbarczyk-Murawska Alina

Kalinowska Regina

Karpiuk Wiesława

Kasiorkiewicz Irena

Kłopotowska Teresa

Kodłubańska Krystyna

Legun Danuta

Łaszcz Teresa

Łotowska Halina

Makarewicz Anna

Matczuk Jadwiga

Mućko Elżbieta

Orłowska Teresa

Pańkowska Grażyna

Piszczatowska Maria

Podwysocki Sławomir

Sadłowska Czesława

Stankiewicz Marianna

Szczerba Aleksandra

Szewiel Teresa

Szymańska Halina

Śmietalo Bożena

Tarnowski Mirosław

Wasilewska Daniela

Wudarczyk Maria

Zakrzewska Irena

Największy zryw niepodległościowy Polaków

Rodzice naszych seniorów, urodzeni w latach 20. minionego wieku, mieli okazję spotykać ostatnich powstańców z 1863 roku. Łatwo było ich rozpoznać po mundurach ufundowanych przez władze odrodzonej Polski. Wszyscy byli oficerami w stopniu podporucznika.

Do 1860 roku na Podlasiu było spokojnie. Białystok liczył wówczas ponad 16 000 mieszkańców. W szybkim tempie przybywało manufaktur i fabryk. Z początkiem kolejnego roku można było zauważyć nagłe i powszechne ożywienie. W marcu 1861 roku, w białostockim kościele parafialnym, odbyła się msza żałobna za dusze pięciu młodych Polaków, którzy zginęli z rąk rosyjskich podczas manifestacji na Placu Zamkowym w Warszawie. W lipcu 1861 roku w Tykocinie odbyła się jedna z największych na Podlasiu manifestacji patriotycznych, która zgromadziła wiele tysięcy ludzi. W ten sposób uczczono jubileusz unii polsko – litewskiej w Lublinie. Niedaleko Augustowa, na modlący się tłum wiernych, spadła sotnia kozacka. Polacy, zamiast desperackiej ucieczki, padli na kolana, twarzą zwróceni do nadciągającej nawałnicy. Z chóralnym śpiewem religijnych pieśni, odważnie czekali na Kozaków. Ci, zdumieni postawą ludzi, wstrzymali szarżę, zsiadli z koni, ukłękli... Tłumy przybywały na wszelkie odpusty w okolicy, śpiewając pieśni religijne i patriotyczne. Z wielką owacją przyjęto występy polskiego teatru, który wystawił w Białymstoku sztukę „Kra-kowiacy i górale”. Wrzało wśród miejscowej młodzieży gimnazjalnej. 9 czerwca 1861 roku uczniowie, po raz pierwszy publicznie, zaśpiewali pieśń „Boże coś Polskę”. Miesiąc później wojska rosyjskie otoczyły białostocką świątynię, w której wierni śpiewali patriotyczne pieśni. Nastąpiły liczne aresztowania. Wzburzony, ponad tysięczny tłum ruszył przed gmach policji, żądając ich uwolnienia. 21 lipca 1862 roku pół tysiąca ludzi zebrało się na cmentarzu przykościelnym, znowu intonując pieśń „Boże coś Polskę”.

Wielonarodowościowy i wieloreligijny Białystok jednoczył się. Kobiety założyły czarne chusty na znak żałoby narodowej. Młodzież zaczęła nosić rogatywki obszyte baranim kozuszkim. Spiskowcy zaczęli szykować się do walki. Naczelnikiem okręgu białostockiego, obejmującego powiaty: białostocki, bielski i sokólski został leśnik Walery Wróblewski. Aktywnie działał Konstanty Kalinowski, który różnymi metodami starał się dotrzeć do mieszkańców wsi. Redagował „Muzyckoju Praudu”, która miała czcionkę łańską, lecz wymowę białoruską. W Białymstoku, na Antoniuku zamieszkał Bronisław Szwarce, jeden z organizatorów i przywódców Stronnictwa Czerwonych. Ważną rolę pełniły dwa ośrodki kolejowe: Białystok i Łapy. To kolejarze przewozili nielegalną prasę i rozkazy pty-

nęce z Warszawy, a także broń. Białystok, obok stolicy, stał się najważniejszym na ziemiach polskich centrum konspiracji Czerwonych.

Poszli w bój w zimową noc

W Białymstoku nie doszło do otwartych wystąpień przeciwko zaborcy. Stał tutaj silny garnizon rosyjski. Niekorzystna też była struktura narodowościowa społeczeństwa. Jednak polska konspiracja miała pełne ręce roboty. Zbierano więc datki pieniężne na zakup broni i żywności dla oddziałów powstańczych, działała poczta, ukrywano zbiegów, przyjmowano kurierów kursujących między Warszawą i Wilnem.

Warto przypomnieć listę ochotników z Białegostoku i okolic, którzy w 1863 roku stanęli w szeregach powstańczych: nauczyciele i uczniowie z gimnazjum: Adolf Białokos, Julian Obuchowicz, Edward de Ramer, Edward Toczyski. Antoni Władyczański... Urzędnicy: Adolf Nowowiejski, Napoleon Rogowski, Franciszek Latkowski, Nikodem Lenczewski, lekarz Jan Birfleidt, stolarz Jan Januszkiewicz, były burmistrz miasta Wincenty Kitzel i jego syn Marcelli.



*Zabytkowy kościółek parafialny jest niemy
świadkiem patriotycznych uroczystości
w przededniu wybuchu powstania 1863 roku*

Lista uczestników walk, poległych, aresztowanych lub zesłanych na Sybir jest długa. Największe straty były w szeregach białostockich gimnazjalistów. Przecież prawie połowa uczniów trafiła do oddziałów leśnych. Represje wobec uczestników walk były surowe. Cele więzienne przy ulicy Ogrodowej były przepelnione. Na więzienie zamieniono więc klasztor Sióstr Miłosierdzia (szarytek) oraz dom Icka Barasza, znajdujący się przy ulicy Lipowej. Gen. Michał Murawiew zastosował cały wachlarz, nieraz wręcz zdumiewających represji. I tak np. już po zakończeniu walk Rosjanie zrzucili do rzeki Białej figurę Św. Jana Nepomucena...

Właśnie w pobliżu Białegostoku, w dniu 5 lutego 1864 roku, doszło do ostatniej potyczki partyzanckiej na Podlasiu.

Podczas pisania artykułu zostały wykorzystane materiały zawarte w: Historia Białegostoku, redaktor naukowy Adam Cz. Dobroński, Białystok 2012 oraz Archiwum Państwowe w Białymstoku, Powstanie styczniowe na Białostocczyźnie w 150 rocznicę wybuchu, Białystok 2013

Halina Wojno – druha Dziewięćdziesiątka

Krótki film o niej można znaleźć w sieci: <https://bialystok.tvp.pl/48550474/wyjatkowa-solenizantka>. W tym dokumencie jest wszystko o drużynie Haliny Wojno. Mundur harcerski włożyła w wieku 8 lat. I nie zdjęła do końca swojego długiego życia. Służbę pełniła wzorowo: Bogu i Człowiekowi. Dlatego należy o niej napisać.

Druh Andrzej Bajkowski doskonale pamięta Halinę Wojno. Podobnie, jak ona, swoje życie związał z ZHP. I przez wiele lat był Komendantem Chorągwi Białostockiej ZHP.

– Druha Wojno, z domu Jasińska, pochodziła z Białej Podlaskiej, ale swoje życie związała z Białymstokiem – mówi druh Andrzej. – Dorastała w rodzinie o tradycjach patriotycznych. Jej ojciec był oficerem rezerwy. W latach okupacji niemieckiej należał do Armii Krajowej. Po wojnie znalazł się w szeregach konspiracyjnej organizacji WiN. Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa aresztowali jego bliskich i osadzili w celi na zamku w Lublinie. Halina – partyzancka łączniczka, doświadczyła nie tylko trudów pobytu w celi więziennej i okrutnych przesłuchań. Na wolność wyszła z tzw. wilczym biletem. I nigdzie nie mogła znaleźć pracy. Dlatego zdecydowała się na opuszczenie rodzinnych stron. W ten sposób trafiła do Białegostoku. Miała wielkie szczęście, gdyż spotkała doktor Irenę Białównę. Była ona nie tylko znakomitym lekarzem, ale też wyjątkowo dobrą kobietą i świetnym organizatorem powojennej służby zdrowia w Białymstoku. Władze komunistyczne bardzo liczyły się z jej opiniami i... decyzjami.

Halina Wojno została zatrudniona jako pielęgniarka, chociaż nie miała wymaganych kwalifikacji. Jednak to były czasy, kiedy liczyły się przede wszystkim chętna serca i ręce. A pracy było co niemiara. Młodej Halinie powróciła wiara w lepszą przyszłość. – Dlatego nosiła w sobie – tłumaczy druh Andrzej – dożgonną wdzięczność wobec białostockiej lekarki. Pokochała także mieszkańców naszego miasta. I z zapałem zaciągnęła się do odrodzonego ZHP. Życiowe motto: Służba Bogu i Człowiekowi codziennie przekładała w praktykę.

W 1947 roku zatrudniła się w Szkole Powszechnej numer 2 w Białymstoku jako nauczycielka wychowania fizycznego. W tym samym roku zabrała dzieci z tej szkoły na obóz harcerski w Tatrach. – Nieraz wspominała o tym obozie – tłumaczy Andrzej Bajkowski. – Młodzi harcerze myli się w górskim potoku. Tam też brali wodę do herbaty lub zupy. Za kwatery służyły im wojskowe namioty z demobilu, rozstawione na leśnej polanie. O tym obozie nieraz opowiadała młodym harcerzom. Bardzo lubiła spotykać się z młodymi ludźmi w mundurkach, a ci wręcz Ignęli do niej.

Druh Andrzej Bajkowski rozłożył na stole przyniesione eksponaty. – Dostałem je – mówi – od druhny Wojno. Na pewno trafią do Muzeum ZHP. – Pokazuje starą książeczkę. – Halina Wojno dostała ją od druha Stanisława Moniuszko. To śpiewnik z 1906 roku. Przez wiele dziesięcioleci służył przy harcerskich ogniskach.

Sięga po kolejne pamiątki. – Tę przedwojenną kronikę drużyny harcerskiej druhna przywozła z Białej Podlaskiej. Znalazła ją dosłownie na śmietniku. – dodaje nasz gość. Uczestnicy spotkania oglądają prawie 100-letnią kronikę, podziwiając staranność pisma i rysunki wykonane ołówkiem. Między kartkami jest proporzec z rysunkiem jaskółki. Takie proporczyki zawieszono na drzewcach miały kiedyś harcerskie zastępy. – Nadal wiele zastępów takie posiada – dodaje harcerz. I sięga po kolejną pamiątkę – harcerski kapelus z lilijką. – To również pamiątka po druhnie Halinie. – objaśnia Andrzej Bajkowski. – Nigdy nie rozstawała się z tym kapeluszem. Wszędzie jej towarzyszył, o czym świadczą liczne fotografie. Druhna Halina była nie tylko nauczycielem, ale też bibliotekarzem. Lubiała porządek. Wszystko u niej miało swoje miejsce. Każda pamiątka była dokładnie opisana. Lubiała także dyscyplinę. Przecież tyle lat w mundurze... – Będąc na emeryturze nadal miała czas na harcerstwo, chociaż musiała go dzielić sprawiedliwie. Miała przecież rodzinę. – mówi Andrzej Bajkowski. – Pracowała w Komisji Historycznej przy Komendzie Chorągwi i należała do Kręgu Seniorów ZHP. W każdy poniedziałek, w godzinach od 13 do 16, pełniła dyżur w budynku naszej Komendy. Nigdy, naprawdę nigdy, nie spóźniła się, ani też nie wyszła przed godziną 16. Przecież harcerza obowiązuje dyscyplina! – mówiła nam druhna.

Ze wzruszeniem snuje druh Andrzej opowieść o Halinie Wojno. – Nade wszystko ceniła przyjaźń. I obdarzała nią wszystkich ludzi. Jest w harcerskim kalendarzu Dzień Myśli Braterskiej. Obchodzony 22 lutego, czyli w dniu urodzin założyciela skautingu Baden – Powella. W tym dniu harcerze wysyłają swoim znajomym karty pocztowe. I właśnie to nieco zapomniane święto i tenże zwyczaj wskrzesiła Halina Wojno. Z jaką pasją wypisywała te pocztówki! – wspo-

mina druh Andrzej. – I nas nią zarażała. Dodam, że starała się być zawsze na pogrzebach jej przyjaciół – harcerzy. Aby ich osobiście pożegnać i oddać harcerskie honory. A przecież te grono było bardzo liczne.



Druhá Halina Wojno w otoczeniu młodzieży w mundurach ZHP

Młodszemu pokoleniu z wielką cierpliwością wpajała zasady bycia harcerzem. – Najpierw lilijka, dopiero potem harcerski krzyż – mówi druh Andrzej. – Na tej drodze należy spełnić liczne wymogi. I wpisać je do swojego charakteru. Dawała przykład swoją harcerską służbą. Może dlatego tak bardzo uwielbiała harcerskie piosenki. Nie ma przecież harcerstwa bez: biwaków, obozów stacjonarnych lub wędrownych, ognisk i piosenek.

Taka właśnie do ostatnich chwil swojego długiego życia była druhna Halina Wojno – służyła Bogu i Ludziom. W harcerskim kapeluszu i mundurze...

Jaka matka, takie dzieci

– Nie pamiętam, co wczoraj jadłem na kolację – mówi Cezary Maksimowicz. – Ale o matce pamiętam wszystko – dodaje. Starszy brat, ksiądz Bogdan kiwa głową potakująco. Bogdan – rocznik 1935, Cezary – 1939. Cztery lata różnicy, ale łączy ich dzień i miesiąc przyjścia na świat: 8 lipca. I pamięć o rodzicach.



Stanisława z domu Paszko i Henryk Maksimowicz

– Cezary jest kronikarzem naszej rodziny – mówi ksiądz Bogdan, budowniczy kościoła pw. Św. Kazimierza Królewicza w Białymstoku i jego pierwszy proboszcz. – On ma wszystko spisane i uporządkowane. Niech mówi. Młodszy z braci bez chwili wahania zaczyna opowieść.

– Było nas pięcioro. Róża najstarszą z rodzeństwa. Potem przyszedł na świat Bogdan, a ja po nim. Następnie jeszcze dwie siostry: Barbara i Anna.

Rodzina jest mocno zasiedziała w Białymstoku. Ojciec Henryk Maksimowicz mieszkał przy ulicy Kozłowej w ówczesnej wsi Białostoczek. – Nie ma już naszego drewnianego domu – tłumaczy pan Cezary – Jednak nadal mieszkam przy tejże ulicy, chociaż mieszkanie mam w bloku. Ojciec miał dobre wykształcenie. Przed wojną pracował w Izbie Skarbowej, gdzie był kierownikiem kancelarii. Po godzinach pracy lubił zajmować się sprzętami elektrycznymi. Coraz to wymyślał jakieś nowinki, którymi nas zaskakiwał. Tym majsterkowaniem mnie zaraził.

Mama, Stanisława z domu Paszko, też była rodowitą mieszkanką naszego miasta. Urodziła się na Wygodzie, przy ulicy Zawadzkiej 8. Miała 4 latka, kiedy cała rodzina wyjechała do Rosji. Ignacy Paszko stracił nogę w czasie wojny rosyjsko – japońskiej. Car wynagrodził to jego inwalidztwo. Paszkowie otrzymali dom w samym Petersburgu. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej stracili majątek, ale zachowali życie. I wrócili do Białegostoku.

Mama – super kucharka

Wiadoma to rzecz, że w wieku bardzo już dorosłym, nieraz wspominamy nasze przysmaki z dzieciństwa. Wszystko co ugotowała mama było bardzo pyszne. – snuje opowieść młodszy z braci. – Mama była pierwszorzędną kucharką. W naszym domu nawet stół musiał być starannie uszykowany. Do białego obrusa nieraz dopinała kwiatki. Talerze, sztucce i szklanki musiały być właściwie poukładane. Przepisy brała z kalendarzy i czasopism. Potrafiła robić pyszne torty. Nauczyła się też piec sękacze. Sam zrobiłem specjalny wałek ze sznurkami. Kręciłem tym wałkiem, a mama polewała przygotowaną masą. I coraz to przypominała: Nie liź, bo będziesz łysy. Nie posłuchałem mamy. No i sami widzicie... – mówi, głaszcząc się po głowie.

Jako młoda dziewczyna nauczyła się ciężkiej pracy. Zatrudniła się u ludzi zamożnych – do prania i gotowania. Była chyba dobrą, w tym co robiła, a przede wszystkim lubianą. Jedna z żydowskich rodzin, u której postugiwała, wysłała ją na kurs kucharski. Inni zaś opłacili jej naukę krawiectwa. Jednak najlepiej sprawdzała się w roli kucharki. Po wojnie nieraz pomagała proboszczom z różnych parafii w organizacji ważnych przyjęć. Księdzu Abramowiczowi pomogła przygotować stół z okazji jego jubileuszu 50-lecia kapłaństwa. Natomiast ksiądz Wilczewski z Czarnej Wsi Kościelnej poprosił, aby przygotowała poczęstunek, gdy miał na swojej plebanii gościć słynnego oszczepnika Janusza Sidło.

Dobra opiekunka

– Pamiętam z wczesnego dzieciństwa, jak mama do snu śpiewała nam piosenki. – mówi pan Cezary, spoglądając na brata. Ten kiwa głową na zgodę. Niech młodszy brat mówi. Ten zaczyna nucić. Kilka zwrotek: Gdzie ta chatka mchem porosła... – po chwili mówi – Nie lubiłem czytania książek. Co innego mój brat Bogdan. Ten zawsze był odczytany. Mama nie musiała go zachęcać. Ja wolałem majsterkowanie. Kiedyś jednak postanowiłem ucieszyć moją mamę i... przeczytałem „Trędowatą”. Teraz moja mama mogłaby być ze mnie dumna. W moim mieszkaniu jest prawie 1800 książek. Wszystkie przeczytane! – dodaje pan Cezary z dumą. – Można mnie sprawdzać na wyrwyki!

Wszystkie dzieci w rodzinie Maksimowiczów były zawsze ładnie, a przede wszystkim schludnie ubrane. To nie tylko zasługa ojca, który jak na owe czasy,

całkiem nieźle zarabiał. – Nasza mama znała się na krawiectwie. – snuje opowieść pan Cezary. – Nie miała jednak własnej maszyny, więc pożyczała od cioci. Nieraz nad moimi ubrankami musiała nieco popracować. Nie chodziłem przez bramki, lecz wybierałem skróty przez płoty. Różnie potem działo się z ubrankami. – śmieje się kronikarz rodu Maksimowiczów.

– Ja zaś pamiętam prezenty od św. Mikołaja – mówi starszy z braci – Najczęściej to były skarpetki, chusteczki do nosa, pidżamy i... słodycze. Do tej wyliczanki dorzuca swoje wspomnienie pan Cezary – Kiedyś dostałem od św. Mikołaja różgę, ale był też wśród prezentów drewniany konik na biegunach – dodaje z powagą.

Świątecznie w domu

W rodzinie Maksimowiczów był ustalony porządek przygotowania świąt. Zawsze zajmowała się tym pani Stanisława. To ona szykowała wszystkie potrawy na świąteczny stół. – Kiedyś poleciła, abym zmielił porządnie mięso na pasztet – tłumaczy pan Cezary. – Mama wyszła z kuchni do innych robótek. Ja zaś sięgnąłem po... wiertarkę. No i poradziłem sobie z tym pasztetem. Pamiętałem tylko o zaleceniu mamy: Kręć cały czas w prawo. No i tak wiertarką kręciłem – śmieje się młodszy z braci. Starszy, wciąż zasłuchany w jego opowieść, znowu kiwa głową potakująco. Kiedyś mama szykowała tort. Miał być, rzecz jasna, nasączony spirytusem. No i do buteleczki z tym płynem dobrał się, jakżeby inaczej Czarek. – Po pierwszym łyku – mówi – zatkało mnie na dobre kilka minut. Ale spróbowałem tego napoju tylko jeden, jedyny raz – dodaje z powagą.

W domu przy Kozłowej, przy stole świątecznym mieściło się dziewięć osób, chociaż pokój w drewnianym domu nie był okazały. – Dla sąsiadki, która żyła samotnie, też znalazło się miejsce. – dodaje pan Cezary.

Ich matka

– Nasza mama – mówi ks. Bogdan – pobożności i modlitwy nauczyła się od bł. Bolesławy Lament, którą spotkała w Petersburgu. Właśnie w stolicy Rosji ta zakonnica prowadziła zakład opiekuńczo – wychowawczy. Mama była też świadkiem w trakcie procesu beatyfikacyjnej tej Błogostawionej. Doświadczenia z czasów rewolucji w Rosji tylko jej religijność umocniły. – Kiedy dowiedziała się, że pójdę do seminarium – wspomina ksiądz Bogdan – tylko zapytała z troską – Czy ty wytrzymasz? Wytrzymałem. – Po chwili zaczyna recytować: Święć się imię Twoje. Matko spraw by serce moje gorzało. By radością życia całą stał się Chrystus Król. – Taką myśl wypisałem na swoim obrazku prymicyjnym – tłumaczy ksiądz.



Stanisława Maksimowicz w gronie rodzinnym

Stanisława zmarła w 1989 roku. – Do końca była w swoim domu – mówi pan Cezary – Chorowała krótko. Opiekowaliśmy się mamą. Wszyscy z naszej rodziny umierali w domu otoczeni troskliwą opieką. Nigdy nam nie było za ciasno. Przykład dała mama, która kiedyś przez wiele miesięcy opiekowała się naszym dziadkiem, a swoim ojcem. Dużo o naszej mamie mogłyby dopowiedzieć moje dzieci, a jej wnuki – dodaje pan Cezary.

– Trzeba jeszcze dodać – odzywa się dotychczas milczący ksiądz Bogdan – że nasza mama była wielką społeczniczką. To ona w 1944 roku, tuż po przejściu frontu, z wielkim poświęceniem stała na czele komitetu organizującego szkołę przy ulicy Lipowej. – To późniejsza podstawówka numer 15 – dodaje pan Cezary. – Mama gromadziła sprzęty i pomoce naukowe, zbierała podręczniki i lektury szkolne.

Starszy z braci spogląda na zegarek. Chociaż od wielu lat jest na zasłużonej emeryturze, to jednak obowiązki kaptańskie go wzywają. Wie, że Cezary nam wszystko dokładnie opowie. Ten zaś wyciąga z saszetki pękata kopertę ze zdjęciami z rodzinnego albumu. Z pasją opowiada o swojej mamie, ojcu i rodzeństwie. Kronikarz rodziny – jak go nazwał starszy z braci. Koniecznie musimy jeszcze raz spotkać się z nimi. Tematów jest przecież bez liku.

Kustosz nie tylko historii rodzinnej

W Tykocinie jest synagoga – jedna z najstarszych w Polsce i najlepiej zachowana w Europie. Teraz jest tam Oddział Muzeum Podlaskiego. Ewa Wroczyńska przez 30 lat była w nim kustoszem. Codziennie dojeżdżała z Białegostoku komunikacją PKS. I nigdy nie zmieniła miejsca pracy.



Ewa Wroczyńska na spotkaniu z naszymi seniorami

Nie lubi opowiadać o sobie, ale woli o swojej rodzinie. Ma w tym temacie wiedzę olbrzymią, a pamięć świetną. Opowie nam o swojej prababci, babci i mamie, chociaż wolałaby o dziadku i ojcu... O sobie też nie chce, ale ją dopytamy. O wszystkie trzy panie.

Prababcia

Władzia z Jezierskich Tercjakowa. – Do Tykocina trafiła w 1915 roku – zaczyna opowieść Ewa Wroczyńska. – Wraz z dziewiątką swoich dzieci. I bez męża, którego już nie było na tym świecie. Ta liczna gromadka została przygarnięta przez rodzinę Ossowskich. Przybysze szybko wrosli w miejscową społeczność. I polską konspirację. Najstarszy syn Szczepan oraz córka Aleksandra należeli do Polskiej Organizacji Wojskowej. Szczepan znalazł się też w składzie polskiego Komitetu Obywatelskiego w Tykocinie, który powstał za zgodą niemieckich władz okupacyjnych. Dobrze i patriotycznie wychowywała prababcia swoje dzieci. Starła się także, aby zdobyły wykształcenie. Wiedziała, że w odrodzonej Polsce będzie ono bardzo przydatne.

W pamięci rodzinnej pozostał obraz prababci lubiącej ład i porządek. I oszczędność. – Nieraz strofowała dzieci – mówi pani Ewa – aby nie rozsypywały cukru. Za bardzo odczuła nędzę i głód, którego doświadczyła w czasie wojny

światowej. – W naszej rodzinnej pamięci – mówi – zachowało się wspomnienie, jak w 1915 roku, już za okupacji niemieckiej, prababcia przyniosła do domu sacharynę. Słodziła nią swoim dzieciom herbatę. Pouchwała – Nigdy nie rozsypujcie cukru. I szanujcie każdą kromkę chleba. Władysława zmarła w 1921 roku.

Ewa Wroczyńska chciaaby teraz opowiedzieć o dziadku. I licznych rodzinnych przeprowadzkach. Jednak w naszej publikacji ma być o kobietach. Tymczasem słuchamy z zainteresowaniem. Nie wypada przerywać.

O babci Reginie i dziadku Antonim

– Dzieciństwo spędziłam w Czarnej Wsi Kościelnej – snuje opowieść nasz gość. – Tam dziadek miał swoją aptekę. Jego żona zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. W czasie dwóch okupacji apteka nadal funkcjonowała. Babcia jednak znalazła nowe zajęcie. Wędrowała po okolicznych wsiach z lekarstwami. W zamian przynosiła do domu coś do jedzenia. Po latach, gdy już pracowałam w Tykocinie, postarałam się o odtworzenie apteki dziadka. Teraz te eksponaty są w Muzeum Rzeczpospolitej Obojga Narodów w Bielsku Podlaskim. W 1951 roku władze zabrały dziadkowi aptekę. Przyjechali dwaj panowie samochodem. Zapytali o właściciela. Była godzina 9 rano. Powiedzieli krótko – Apteka już do pana nie należy. Właśnie od godziny 9 – dodał któryś złośliwie. Zabrali wszystko, nawet lekarstwa, które mieliśmy w domu. Dziadek przyjął ten fakt ze spokojem. Babcia do końca życia bez ogródek nazywała ówczesną władzę złodziejami i bandytami. Miała niełatwe życie, ale potrafiła też czynić je nieco radośniejszym – tłumaczy pani Ewa – Słynęła z nietuzinkowych dowcipów i... psot. I nie cierpiała alkoholu, ale przede wszystkim ludzi spożywających napoje wysokowe. A dziadkowi – farmaceucie zdarzało się, oj zdarzało – śmieje się pani Ewa. – Babcia miała jednak swoje skuteczne metody. – dodaje wnuczka. Była także osobą głęboko religijną. Tę religijność w nas zaszczepiła. Nie pracowała zawodowo, lecz zajmowała się wychowaniem dzieci. Pieniądze zarabiał mój dziadek.



Regina z Tercjaków Radziszewska

Ewa, wraz z siostrami, każde wakacje spędzała w domu babci w Czarnej Wsi Kościelnej. Ta z chęcią opowiadała historie rodzinne i często sięgała po książki z bogatej domowej biblioteki. – I wciąż nas napominała – mówi pani Ewa – abyśmy dbały o swoją mamę. Lubiliśmy zaglądać do babci. Miała w swoim gospodarstwie kury, gęsi, różną zwierzynę. Pamiętam, że naszą babcie zapraszano na pogrzeby. Umiała pięknie modlić się i odmawiać różaniec. Była osobą głęboko religijną. Nie wstydziła się swojego wyznania. I nas też tego nauczyła – powtarza pani Ewa.

To prawda, potwierdza Marian Olechnowicz. Pani Ewa wsiadając do mojego auta uczyniła znak krzyża. Podobnie zachowała się, gdy przejeżdżaliśmy obok kościoła św. Rocha i naszego św. Kazimierza.

Babcia Wiesława

– Opowiem o tej drugiej – tłumaczy pani Ewa-Wiesławie – babci ze strony mojego taty. Była z pochodzenia Niemką, z rodziny Netzel. Wychowała się w religii luterańskiej. Jednak przede wszystkim czuła się Polką, a już po zakończeniu II wojny światowej została katoliczką. Była bardzo upartą i stanowczą kobietą. To dobra cecha, którą też w nas zaszczepiała. Bardzo dbała o wykształcenie swoich dzieci. I także ich karierę. Kiedyś w sprawie przyjęcia syna do szkoły oficerskiej stawiała się w Belwederze. Stanowczo zażądała spotkania z Marszałkiem. I ten faktycznie ją przyjął. Sprawę załatwił po myśli babci. Mój tata ukończył białostockie Gimnazjum im. Zygmunta Augusta. Maturę zdał w 1939 roku. Został leśnikiem, chociaż z wykształcenia był inżynierem mechanikiem. W czasie okupacji należał do Armii Krajowej, walczył w powstaniu warszawskim.

Mama

Halina Wroczyńska z Radziszewskich wyszła za mąż w 1945 roku w Czarnej Wsi Kościelnej. Małżonkowie natychmiast wyjechali z Podlasia na tzw. Ziemie Odzyskane i zamieszkali w Kowarach. Mieczysław Wroczyński miał nadzieję, że daleko od stron rodzinnych rozpocznie nowe życie. Jednak tak się nie stało. Komunistyczna bezpieka trafiła na jego ślad. Został aresztowany i osadzony w więzieniu. – Na szczęście mój ojciec wkrótce odzyskał wolność – mówi córka. – Jednak UB roztoczyło nad nim dyskretną obserwację. – Może dlatego żył tak długo – śmieje się córka. 103 lata to naprawdę piękny wynik.

– Moją mamę już od dzieciństwa trapiły różne choroby. – kontynuuje opowieść pani Ewa. – I nie bardzo garnęła się do nauki. Woląca zajęcia gospodarskie. Przez wiele lat chorowała na gruźlicę. Coraz to nam obiecywała, że wkrótce umrze. Chyba te jej obiecanki wpłynęły na moją psychikę. Bardziej kochałam mamę. – tłumaczy córka. Ale to z winy mamy przeżywaliliśmy w dzieciństwie

istną traumę. Otóż coraz to nam serwowała „melizupkę”, czyli mleko z kaszą manną i... kakao. Taką też robiła nam babcia. Nienawidziłam tego – śmieje się Ewa Wroczyńska. – „Katowała” też mnie tranem i kurzymi jajkami spożywanymi na surowo. Ale przecież nie ja jedna mam takie wspomnienia z dzieciństwa – kwituje nasz gość. – Takie to były czasy. I takie wszystkie mamy. Niewątpliwym plusem mojego dzieciństwa był fakt, że mama zawsze była w domu – gdy wychodziłam do szkoły, a także kiedy wracałam. Jej dwie córki były zadbane, dokarmione. Tym bardziej ją kochaliśmy. – Ewa Wroczyńska milknie, a po chwili, nieco rozbawiona, mówi – Kiedyś jechałam z mamą pociągami. Naprzeciwko siedziała kobieta bardzo zadbana: szminka na ustach, zrobione rzęsy, poprawione brwi. Rozpłakałam się, bo moja mama nie dbała o kobiecej makijaż. Zawsze była tylko naturalna. Nawet pojawiającej się siwizny nie starała się ukrywać. Płakałam, ale teraz wiem, że to mojej mamie tylko dodawało piękna. I tak ją zapamiętałam.

Ewa o sobie

– Zainteresowanie historią wyniosłam z domu rodzinnego – mówi nasz gość – I domu babci w Czarnej Wsi Kościelnej. Było tam wiele ciekawych rodzinnych pamiątek. I wiele książek, przede wszystkim historycznych.

– Moje dzieciństwo było podróżowaniem – wspomina Ewa Wroczyńska – Mieszkaliśmy w różnych miejscach naszego kraju. Wreszcie osiedliśmy na stałe w Białymstoku. Uczęszczałam do podstawówki przy ulicy Gdańskiej. Mieliśmy tam wspaniałą nauczycielkę historii, panią Helenę Mońko. To ona ugruntowała we mnie zamiłowanie do historii. Jednak początków tej pasji, jak wspomniałam, doszukuję się w domu moich dziadków w Czarnej Wsi Kościelnej. Tyle tam było cudownych, starych przedmiotów. Lubiłam przeglądać albumy, sięgać po wiekowe książki, grzebać w babcinych pudełkach... Tam właśnie zaraziłam się historią – śmieje się pani Ewa.

Potem była nauka w białostockim LO III. Tam też trafiła na dobrych nauczycieli przedmiotów humanistycznych. Historię studiowała na Uniwersytecie Warszawskim. Kadra naukowa była warszawska. Same znakomite nazwiska. Pracę magisterską pisała pod kierunkiem prof. Andrzeja Wyrobisza. Temat dotyczył gospodarki leśnej w Polsce. – Chyba zawód mojego ojca – leśnika miał wpływ na dobór tematu – mówi Ewa Wroczyńska.

Studia kończyła w czasach, kiedy niełatwo było o pracę dla świeżo upieczonej pani magister historii. Tymczasem w pobliskim Tykocinie powstał Oddział Muzeum Okręgowego w Białymstoku. Dojazd komunikacją PKS był całkiem dobry. – Bez trudu dostałam tam pracę – wspomina pani kustosz. – Nie planowałam zostać na stałe, ale jakoś tak wyszło, że to było nie tylko pierwsze, ale

też i ostatecznie moje miejsce zatrudnienia. Pracę zaczęłam 1 kwietnia 1977 roku. W 2007 roku odeszłam na emeryturę. 30 lat codziennych dojazdów, 30 lat w tykocińskiej synagodze... Przez wiele lat swoją pracę łączyłam z opieką nad coraz wiekowymi rodzicami. Taki jest przecież obowiązek dzieci.

Ewa Wroczyńska nie знаła dziejów Tykocina ani tym bardziej historii i kultury Żydów. Jednak studia historyczne nauczyły samodzielnie zdobywania wiedzy. Z biegiem lat historii Żydów uczyła się od... Żydów. – Były to czasy, kiedy muzeum w Tykocinie zaczynało swą działalność. Wielką robotę wykonała Ewa Cywińska, przy której Ewa Wroczyńska zdobywała wiedzę oraz umiejętności. Panie jeździły po okolicznych wsiach, odwiedzały białostocką DESE. Czasami do muzeum przychodzili ludzie, oferując ciekawe eksponaty. Nie zawsze były pieniądze w kasie muzeum. – W mojej pamięci szczególnie utkwiło jedno wydarzenie – mówi pani Ewa – Otóż trafił do nas człowiek, który pokazał księgę z... 1496 roku! Inkunabuł z klasztoru bernardynów w Tykocinie. Prawdziwa sensacja. Byłam pod wielkim wrażeniem. Wiedziałam, że nie mogę odpuścić tak wyjątkowej okazji. I udało się! Przekonałam właściciela tej księgi i odsprzedał nam. To była naprawdę wielka sensacja w świecie historyków. No i Tykocina. Nieraz nie trzeba było szukać daleko. W Tykocinie był stary dom do rozbiórki. Właściciele sami zaproponowali, abyśmy przejrzyli strych i pomieszczenia. A tam była cała masa starych dokumentów, fotografii i przedmiotów użytku domowego.

Ewa Wroczyńska od dziecka pasjonowała się teatrem. I taki teatr założyła w Tykocinie. Już wkrótce okazało się, że te dwie pasje – muzealnictwo i teatr można ze sobą połączyć.

– Najpierw wystawiliśmy – wspomina nasz gość – Naszyjnik boga Sziwy. Wpadłam jednak na pomysł, aby grupę teatralną wykorzystać w działalności naszej placówki. Zaczęłam więc organizować plenerowe widowiska związane ze świętami żydowskimi lub różnym wątkami ich życia codziennego. Pomysł się okazał się strzałem w dziesiątkę – mówi z dumą pani Ewa.

Wiedza o historii polskich Żydów, ich kulturze, religii i obyczajach przyszła w sposób naturalny. – Szacunku do tej nacji nauczyłam się w domu – tłumaczy pani kustosz – Moi rodzice byli bardzo tolerancyjni i tego też wymagali od swoich dzieci. Zawsze podziwiałam starania Żydów o zachowanie swojej tożsamości. Tego moglibyśmy się od nich uczyć. Szczególnie w obecnych czasach – dodaje pani Ewa. – Nauczyłam się języka hebrajskiego. Bez tego niewiele bym wiedziała o Żydach.

Snuje opowieść o swojej pracy w tykocińskiej synagodze, o wycieczkach młodzieży z Izraela, o relacjach polsko – żydowskich, o holokauście. – Na

pewno jest wiele nieporozumień – tłumaczy. – I to z winy Izraela. Musimy bronić naszego honoru, ale przede wszystkim prawdy historycznej. Taką prawdę starałam się przekazywać naszym gościom z Izraela i świata. Bo przecież historia Żydów na naszych ziemiach, to nie tylko ponury czas okupacji, ale tysiąc lat wspólnych dziejów. Wielu Żydów słuchało mnie z uwagą. Mówiłam im o naszej wielowiekowej tolerancji, o wojnach religijnych w Europie, o licznych prawach i przywilejach, które u nas posiadali Żydzi, o wielkich polskich twórcach kultury i nauki, którzy mieli żydowskie pochodzenie... Nie wiem, czy mówiłam przekonująco, ale dostałam zaproszenie do Izraela. I pojechałam.

Emerytowana pani kustosz z werwą, ale też z wielką erudycją opowiada, o pogromie Żydów w Tykocinie w 1637 roku. I rabinach, którzy niegdyś biegle znali łaćnę, o biskupie Maciejowskim, który polecił naukę hebrajskiego w Seminarjach Duchownych. – To carska Rosja, a później Zachód – tłumaczy pani kustosz – Starali się w nas sączyć jad nietolerancji wobec Żydów. Obcy nas poróżnili. I nie cierpię słowa TOLERANCJA – znowu mówi z pasją nasz gość – Bo tolerancja to łaskawe przyzwolenie komuś na coś. Ja wolę wyraz: AKCEPTACJA. Wzajemna – dodaje. – Jestem osobą głęboko wierzącą. I nie wstydzę się swojej wiary, chociaż innym nie wytykam ich bezbożnictwa. Wiara dodaje mi sił. No i przecież w tej wierze zostałam wychowana. – kończy swą opowieść Ewa Wroczyńska – emerytowany kustosz muzeum w Tykocinie.

To pierwsze, ale nie ostatnie spotkanie z panią kustosz. Opowie nam o swoim dziadku i ojcu. Przyniesie skarby z domowego archiwum. A przede wszystkim opowie o kulturze, religii i obyczajach polskich Żydów z Tykocina.

Góra św. Anny



...znajduje się w Puszczy Knyszyńskiej w pasmie Wzgórz Świętojańskich. W styczniu 1863 roku okolice Królowego Mostu i Kołodna były miejscem koncentracji sił powstańczych. W zbudowanej w Królowym Moście kaplicy pw. Świętej Anny, modlili się powstańcy przed wyruszeniem w bój. Na szczycie góry znajduje się głąz z pamiątkową

tablicą. Na sośnie jest drewniany krzyż. W ten sposób ludność miejscowa upamiętniła domniemane miejsce śmierci powstańców AD 1863.

Integrująca Anna

Kołodno, sąsiadka Królowego Mostu i Zasad, to bardzo stara wieś. Rozłożyła się nad brzegami rzeczki Płoski i Puszczy Knyszyńskiej. Nad okolicą dominuje góra św. Anny. Jest tam mogiła powstańcza z 1863 roku, ale także wieża widokowa. Wieś jest zadbana, a przede wszystkim nie wyludniona. Są tutaj całkiem nowe domy, zaś te stare pięknie odnowione. Nie grozi wsi wymarcie... Sołtys Anna Kulesza jest tego pewna.

Najlepszym miejscem do naszej rozmowy jest przydomowy taras. Pogoda zachęca do posiedzenia na podwórzu. Są z nami: Bożena – mama Anny, mąż Tomasz, kuzyn Mateusz. Z chęcią wspomogą Annę Kuleszę.

– Z Tomaszem znamy się od podstawówki – tłumaczy sołtys. – Byliśmy w tej samej klasie. Od niedawna jest na mundurowej emeryturze. Ale nie ma czasu na nudę. Kiedy zdecydowałam się kandydować na funkcję sołtysa – mówi, spoglądając na męża. – Nie sprzeciwił się.

Pan Tomasz tylko spogląda z uśmiechem w naszą stronę. Służba w formacji mundurowej nauczyła go posłuszeństwa wobec przełożonych (czytaj żony).

Tymczasem pani Anna nie chce mówić o sobie, ale o tym, co dzieje się we wsi. A dzieje się naprawdę wiele. Ma więc pomysł. Sięga po telefon i wyszukuje galerię ze zdjęciami. Są ich tysiące. – Nie lubię papierologii – tłumaczy – Za bardzo pochłania mój czas, więc wolę wszystko fotografować.

Od dwóch kadencji jest sołtysiem Kołodna, wsi z 74 mieszkańcami. Włodarza należało, po nagłej śmierci poprzedniego sołtysa, wybrać pilnie. Uległa



namowom sąsiadów, chociaż obawy były duże. Bo przecież jest bardzo młodą osobą, pracującą zawodowo. A sołtys, chociaż czasy się nieco zmieniły, nadal ma wiele obowiązków. No i musiała uzyskać zgodę męża. Ten, słysząc te słowa, znowu tylko się uśmiecha.

Tymczasem Anna Kulesza zaczyna swoją wyliczankę – o tym, co udało się zrobić, co jest robione, a przede

wszystkim co należy zrobić. To ostatnie jest na razie w sferze marzeń. Ale czasem marzenia się spełniają.

– Najbardziej brakuje nam świetlicy – mówi. – Ech, dopiero podziałilibyśmy, gdyby taka we wsi była. Mówi to wciąż w liczbie mnogiej, bo przecież bez pomocy ludzi nic by nie zdziałała. I koniecznie trzeba odnowić krzyże we wsi – prawosławny i katolicki. Co się udało zrobić na dobry początek? W czynie społecznym powstała nowa kładka na rzece Płoska. Pokazuje zdjęcia. To żadna kładka, ale całkiem solidny mostek. Dużo ludzi pracowało przy jej stawianiu. Co i raz ktoś wpadał do wody. – Ubaw przy tym był przedni – śmieje się Anna Kulesza.

– Lubię tam chodzić z kolegami, aby posiedzieć na tej kładce, albo powędkować – wtrąca chłopiec. – To nasze ulubione miejsce – dodaje.

Wieś Kołodno otrzymała także działkę od gminy. Na niej powstała siłownia pod chmurką oraz plac zabaw dla dzieci. Jest także pokaźna drewniana wiata, która może pomieścić kilkadziesiąt osób. – Dostaliśmy na nią pieniądze z projektu – tłumaczy pani sołtys. – Gmina otrzymała fundusze na dofinansowanie takich wiat w kilku wsiach. Wszyscy ze wsi mogą zasiąść przy stołach pod dachem. Jednak świetlica z prawdziwego zdarzenia jest nam bardzo, ale to bardzo potrzebna – dodaje z werwą i wiarą w sukces.

Święto wsi

W roku kalendarzowym jest parę spotkań pod chmurką. Najczęściej na placu wiejskim przy wiacie. – Albo na podwórzu u naszego sąsiada za płotem – tłumaczy pani sołtys.

Jednak najważniejszym wydarzeniem jest Święto Wsi. W tym roku mieszkańcy zebrali się na obiedzie pod dachem wypożyczonego namiotu. – To święto, które obchodzimy w połowie września, było nieco zapomniane. Wskrzესiliśmy je w 2019 roku. – objaśnia Anna Kulesza. – Wcześniej świętowaliśmy po domach. Każdy, kolejno, zapraszał do siebie. Nikt nie przychodził z pustymi rękami.

Tradycja święta sięga dawnych czasów, kiedy we wsi stanęły dwa krzyże choleryczne – katolicki i prawosławny. Bo wieś jest dwuwyznaniowa od wieków. Przy tych krzyżach zbierają się mieszkańcy Kołodna, zaś modlitwom przewodniczą duchowni: prawosławny – Radosław Kondraciuk i katolicki – Andrzej Chutkowski. Dopiero potem jest wspólna biesiada, którą szykuje miejscowe Koło Gospodyń Wiejskich. Jego Przewodniczącą jest, jakżeby inaczej, Anna Kulesza. Do Koła należy ponad 26 osób, a wśród nich są także panowie. – Ale nazwy nie zmienimy – śmieje się pani Anna – Gospodynie roboty mają co niemiara. Wspieramy naszą parafię w różnego rodzaju przedsięwzięciach, np. kiermasze

ciast, poczęstunek dla pielgrzymów, Mikołajki... Bierzemy udział w festynach organizowanych w naszej gminie i różnych akcjach charytatywnych. Od dwóch lat wspieramy Bison Ultra Trail, szykując pierogi uczestnikom tego biegu. Zawsze możemy liczyć na wsparcie dwóch miejscowych firm: Tartak Kołodno Sienkiewicz Spółka Jawna oraz Spółdzielni Produkcyjnej Kołodno.

W tym roku zorganizowaliśmy także smutną uroczystość. Mieszkańcy Kołodna i okolicznych wsi spotkali się przy mogile w okolicach Zasad. Tam, w dniu 11 października 1943 roku, Niemcy wymordowali dwanaście osób z dwóch miejscowych rodzin: Malinowskich i Tarasiewiczów. – Chcę, abyśmy wszyscy pamiętali o tej tragedii – mówi pani sołtys – ale przede wszystkim, abyśmy każdego roku wszyscy tam byli. I modlili się przy tej mogile.

A wszystko zaczęło się od wycieczki rowerowej Anny i Tomasza i spaceru po lesie. – Nagle dostrzeżliśmy całkiem niedawno odnowioną mogiłę – mówi pani sołtys. – Zaczęłam dopytywać starszych ludzi. Historia tego miejsca okazała się bardzo wstrząsająca. Wspólnie z naszym proboszczem Radosławem Kondraciukiem dotarliśmy do krewnych osób tutaj zamordowanych. I przywróciliśmy pamięć o tej tragedii – dodaje pani sołtys.

Aby dzieci się nie nudziły

W Kołodnie odbywają się też imprezy dla najmłodszych. Przede wszystkim z okazji Dnia Dziecka. Uczestniczą w nich także dzieci z sąsiednich wsi. Królowy Most i Zasady prawie graniczą z Kołodnem. – Urządziliśmy dzieciom spływ kajakowy naszą Płoską – mówi z dumą Anna Kulesza. – Zebraliśmy prawie trzydziestu chętnych. Kajaki też się znalazły – dodaje.

Zimą też dzieci nie mają czasu na nudę. Pani sołtys organizuje kuligi, a zaprzęgi z saniami zawsze się znajdują. Gorzej jest ze śniegiem – znowu śmieje się nasza gospodyni. – Na pobliskiej górcie urządzamy tor saneczkowy. Fakt, zbocze góry św. Anny jest strome. – Kiedyś zrobiliśmy wiejskie ognisko – snuje opowieść pani Anna – Zjawili się prawie wszyscy mieszkańcy. A na dworze było minus 30 stopni. Impreza była bardzo udana.

– Moi koledzy prawie nie zaglądają do internetu, chociaż ciocia zorganizowała nam konkursy komputerowe. Dostaliśmy też zestaw sportowy do siatkówki. -chwali się Mateusz – Nie tęsknimy za telefonami komórkowymi. Nie mamy na to czasu. Tyle jest tutaj atrakcji – dodaje chłopak. Niedawno skręcił kostkę i nogę ma unieruchomioną, więc daleko od domu nie odejdzie. – Lubię z chłopakami posiedzieć nad rzeczką. Mam wędkę – tłumaczy. -Nieraz trafiają się całkiem duże ryby.

– Mamy też we wsi Święto Rodziny – uzupełnia listę pani Bożena. – To dobra okazja, aby spotkali się starzy i młodzi. W naszej wsi od pewnego czasu osiedla-

ją się przyjezdni. Kupują siedliska, budują domy albo remontują stare. I natychmiast integrują się z nami. A to dzięki wiejskim imprezom. Wśród tych nowych są ludzie naprawdę znani w regionie, a nawet kraju.

Czego jeszcze we wsi brakuje? Mieszkańcom marzy się ścieżka rowerowa łącząca Kołodno z Królowym Mostem. I asfaltowa droga do wsi Zasady. Te trzy sąsiadujące ze sobą wsie żyją w wielkiej przyjaźni. I nawzajem wspierają się w realizacji potrzeb. – No i sklep nam we wsi zlikwidowali – żali się Anna Kulesza. Służył nie tylko mieszkańcom Kołodna.

Historia zapisana obiektywem aparatu

Mąż pani Anny przynosi zafoliowany plik kilkudziesięciu zdjęć. Zapisana jest na nich historia Kołodna. – To był pomysł Anny Kozłowskiej. Ja zaś zorganizowałam wiejskie zebranie. Wszyscy zgodnie poparli ów pomysł. I obiecali, że poszperają w rodzinnych albumach i szufladach. Zajął się skanowaniem i drukiem zdjęć. Potem najciekawsze zdjęcia rozwiesiliśmy na wiejskich płotach. I ścianie starego domu, którą postawiliśmy na naszym wiejskim placu. Oglądali te fotografie nie tylko miejscowi. Nieraz widziałam, jak zatrzymywały się auta albo turyści rowerowi. Oglądali z wielkim zainteresowaniem. Kiedyś je znowu zawiesimy. Może ktoś nam podrzuci kolejne, ciekawe zdjęcia... Tylko nieraz brakuje mi czasu – żali się Anna Kulesza.

Pracuje w instytucji gminnej, ale jest także gminną radną. W domu też jest co robić. Jednak sołtysem została nie dla tabliczki na ścianie domu. – Ludzie bardzo mi pomagają. Nie tylko w różnych robotach, ale przede wszystkim doradzają, co powinniśmy we wsi zrobić – tłumaczy sołtys.

Dlatego organizuje wiejskie zebrania, w swoim domu albo pod wiatą na wiejskim placu. – Słucham, co ludzie mają do powiedzenia, jakie mają pomysły. Łatwiej potem wspólnie działać. Aby coś zrobić, nie tylko potrzebni są ludzie, ale też materiały. – Tutaj zawsze możemy liczyć na pomoc leśników i właściciela miejscowego tartaku. Pomaga wielu innych – nasi duchowni, ale też i pojedynczy ludzie. Przekazują nam gwoździe, wkręty lub farbę. Niedawno Castorina podarowała domek narzędziowy. Urządziliśmy w nim składzik na narzędzia i naczynia. Stoi obok wiaty. –Trudno przeliczać taką pomoc na pieniądze. To dzięki darczyńcom nasza wieś się zmienia. Ja zaś staram się to wszystko ogarnąć – tłumaczy pani sołtys.

– Zapomniałam dodać, że przez cały sezon, co dwa tygodnie należy kosić trawę na naszym wiejskim placu. Musi on przecież ładnie wyglądać. Na to odzywa się Mateusz – Ja najczęściej koszę – tłumaczy z dumą. Tylko zapomniał chłopiec dodać, że kosi traktorkiem, a jazdę tym sprzętem wręcz uwielbia. – Niedawno wymyśliłam – mówi sołtys, że zmienimy we wsi oświetlenie

na... solarne. Mam nadzieję, że wójta uda się przekonać. Będzie oszczędność, a w Kołodnie wieczory i noce zyskają nową szatę. – tłumaczy pani Anna. Nagle poważnieje – Ech, gdybym tak na moje softysowanie miała codziennie 8 godzin. Tyle, co w pracy. To by się działo – dodaje ze śmiechem.

Warto dodać, że w Kołodnie naprawdę się dzieje. Bo co i raz do wsi zjeżdża ekipa filmowa, aby kręcić kolejne kadry. Przy okazji Anna Kulesza też coś ukręci – dla wsi i jej mieszkańców.

Nasz czas się kończy. Spotkaliśmy włodarza wsi – młodą kobietę z głową pełną pomysłów. I wiarą w ludzi. Przede wszystkim bardzo kochającą Kołodno – swoją Małą Ojczyznę. Na koniec zaprasza nas do polubienia profilu Fb <https://www.facebook.com/kgwswojakokolodniaki>.

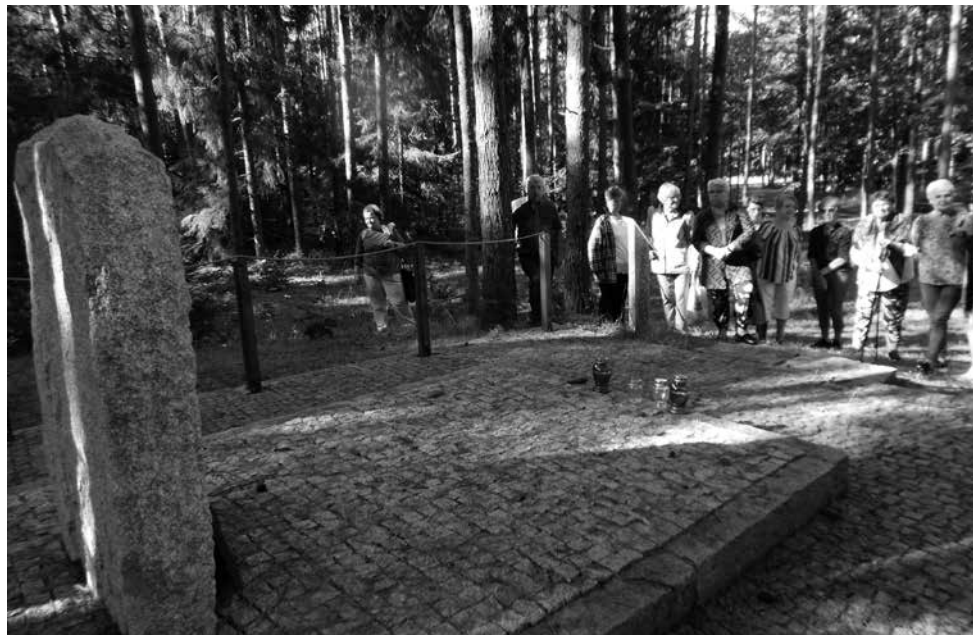
Uroczysko Piereciosy

Bitwa, która rozegrała się 29 kwietnia 1863 roku, była największym starciem Polaków z wojskiem rosyjskim w kompleksie Puszczy Knyszyńskiej. Powstańcami dowodził Onufry Duchyński. Siłami rosyjskimi gen. Zachar Maniukin. Tak w swoim pamiętniku zapisał Ignacy Aramowicz: „29 kwietnia o wschodzie słońca „leśni” zatrzymali się w ostępie Komotowszczyzna w pobliżu Walił. Przylegający do strumienia płynącego u podnóża wzgórz Piereciosu i otoczony bagnami obóz wydawał się bezpieczną przystanią. Jednak już około godziny 15 strażę dały znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Tuż przed godziną 16 nastąpił atak. Pierwsze uderzenie na lewe skrzydło zostało odparte, lecz wkrótce Rosjanie uderzyli ponownie, tym razem na całej linii. Ich systematyczny ostrzał karabinowy musiał odnieść skutek. Powstańcy mogli odpowiedzieć na niego ogniem z broni myśliwskiej, z której strzelano loftkami o zasięgu nie większym niż 50 kroków. W tej sytuacji, mimo dobrej, trudno dostępnej pozycji, zwałów i wywrotów, spoza których mogli się bronić, partyzantom tylko przez godzinę udawało się utrzymać na stanowiskach. Wycofali się pozostawiając na pobojo-wisku trzydziestu dwóch poległych towarzyszy. Rosjanie zdobyli wozy z żywnością, odzież i całą powstańczą kasę (około 1800 rubli srebrem). Ich łupem padła również pieczęć wojenna województwa grodzieńskiego. Bitwa ta, zwana bitwą pod Waliłami (lub bitwą pod Piereciosami) była chrztem bojowym oddziału.”

Badania georadarem potwierdziły nie tylko miejsce głównej bitwy, ale także drogi wycofywania się polskich sił. Poszukiwacze znaleźli kule karabinowe, guziki, monety, a także dwa epolety z munduru rosyjskiego podoficera.

Na uroczysku Piereciosy jest mogiła z krzyżem. Nie bardzo jednak pasuje do tego, co pisze w swoim pamiętniku Aramowicz. Miejsce pochówku jest zbyt

małe, by mogło tam spoczywać 32 powstańców. Prawdopodobnie są tutaj szczątki 2 lub 3 osób.



Gdzie w takim razie znajduje się mogiła polskich powstańców?

Poszukiwacze śladów przeszłości zlokalizowali przybliżone miejsce pogrzebania powstańców. Jest to wgłębienie na zboczu wzgórza o długości około 30 metrów. Badanie georadarem potwierdziło, że jest tam wykop o głębokości 1,5 metra, czyli typowa głębokość mogiły. Badania nadal trwają.

List od lekarza z Sokółki

„W powiecie sokólskim, gminie Krynki, w lasach nadleśnictwa Królowe Stojło znajduje się ostoja leśna Chomontowszczyzna, a w toż wzgórze Piecios. W dniu 29 kwietnia 1863 roku, po południu, oddział powstańczy pod dowództwem Onufrego Duchyńskiego i Walerego Wróblewskiego stoczył walną bitwę z wojskami rosyjskimi garnizonu białostockiego. Rosjanami dowodził gen. Zachar Maniukin. W potyczce zginęło 32 powstańców, reszta poszła w rozsypkę. Uratował się chłop Józef Radel z zaścianka Borsukówka. Wydostał z okrążenia i powrócił w rodzinne strony. Wokół było pełno Moskali. Ukrywał się więc w rejonie uroczyska Czartowa Chata oraz na Czerwonym Bagnie. Jednak przekupiony szpicel wskazał Moskałom miejsce ukrycia powstańca. Józef

Radel został aresztowany i odesłany do „etapnego aresztu” w Sokółce. Sąd skazał go na 15 lat katorgi w zauralskiej wsi Sybircowo. Tam pracował w chutorze. W 1875 roku ożenił się z zestanką z okolic Łap, która nazywała się Anna Korzeń. Mieli troje dzieci. Żona zmarła nie doczekawszy końca zesłania. Józef w 1878 roku powrócił z dziećmi w rodzinne strony. Zmarł w 1920 roku, przeżywszy 77 lat. We wspomnianym zaścianku, jeszcze w latach osiemdziesiątych minionego wieku, żyła Janina Łukaszewicz – wnuczką wspomnianego powstańca.

Jest to fragment listu, który kiedyś do Mariana Olechnowicza napisał doktor Henryk Filkiewicz z Sokółki.

– Było to w latach 80. ubiegłego wieku – mówi historyk. – Uczyłem wówczas w LO w Łapach. Moi uczniowie byli świetnymi tropicielami historii. Przy ich pomocy szukałem śladów owej Anny. Już po kilku dniach uzyskałem odpowiedź. Otóż w niedalekiej Płonce Kościelnej jest wiele rodzin o nazwisku Płońscy. Dlatego używane są przydomki i przezwiska. Bardzo popularny jest przydomek Korzeń. Zachowało się też wspomnienie o Płońskiej, która za pomoc udzielaną powstańcom powędrowała na Sybir. Może to była Anna?

Pietkowo

To niewielka, ale zarazem historyczna miejscowość w gminie Poświętne na Podlasiu. Ziemie należały do dóbr rodów: Starzeńskich i Krasickich. Kazimierz Władysław Starzeński (1816-1899), właściciel Pietkowa, Łukawicy i Wilkowa, cieszył się powszechnym szacunkiem. Honorowa funkcja marszałka szlachty augustowskiej i sędziego pokoju w Tykocinie były tego najlepszym dowodem. Był także członkiem Rady Stanu i Rady Nadzorczej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie. W lokalnym samorządzie należał do rady powiatu łomżyńskiego. W 1861 roku, na znak sprzeciwu wobec zastrzelenia przez rosyjskiego zaborcę pięciu polskich protestujących w Warszawie, zrezygnował z funkcji marszałka guberni augustowskiej. Odrzucił też ofertę objęcia stanowiska prezydenta Warszawy. Był bardzo postępowy w kwestiach społecznych. Oczyszczował chłopów w swoich majątkach, a po uwłaszczeniu tychże ukazem carskim w 1864 roku, służył radami i zachęcał do wdrażania nowinek w gospodarstwach. Nie wziął czynnego udziału w powstaniu, ale wspierał ochotników z jego dóbr do wstępowania do partii powstańczych. I tak, gdy w 1863 roku szlachcic Feliks Zdrodowski organizował nabór do partii powstańczych – zgłosili się włościanie z Brzozowa, Lizy oraz Pietkowa. Z tej wsi, należącej do Starzeńskich, zaciągnęli się do powstańczej partii: **Antoni Wasiluk, Piotr Kielsa, Andrzej Wasilewski, Andrzej Bruszewski oraz Andrzej Kostrowski.**

Marta Jaworska kocha swoją Małą Ojczyznę

Nasz przewodnik po regionie zna ją od dawna. – To rodowita mieszkanka Pietkowa – tłumaczy Marian Olechnowicz – Ma nie tylko wielką wiedzę o Małej Ojczyźnie, ale przede wszystkim ją kocha z... pasją.

Marta Jaworska od wielu lat uczy w szkole języka polskiego. Najpierw w rodzinnym Pietkowie, a następnie w Poświętnem. Natomiast od 2007 roku jest związana ze Szwadronem 10 Pułku Ułanów. – Jednak moje związki z kawalerzystami sięgają 1998 roku – tłumaczy pani Marta – Wówczas nasza szkoła za patrona obrała 10 Pułk Ułanów Litewskich.



Z prawej strony – Marta Jaworska

W dodatku od kilku lat ułani stacjonują właśnie w tej uroczej miejscowości. Pani Marta z okna swojego mieszkania nieraz widzi pasące się ułańskie konie. W stadzie jest też jej wierzchowiec. Tymczasem nasze seniorki nie mogą się nadziwić, jak wokół jest pięknie. Na zwiedzanie przyjdzie jeszcze czas. Gospodyni zaprasza nas na plac przed budynkiem dawnej szkoły. Jest tam miejsce do rozpalenia ogniska lub zrobienia grilla i okazała wiata. Siadamy przy długim, drewnianym stole.

– Jestem rodowitą mieszkanką Pietkowa – zaczyna swą opowieść Marta Jaworska. Skrupulatnie wylicza swoich przodków po mieczu i kądzieli – Kilka pokoleń wstecz. – Nasz dom rodzinny już nie istnieje – mówi – Taki piękny był

w nim ganek – dodaje nieco sentymentalnie. – Mój dziadek Wojciech Jaworski był zaradnym człowiekiem. Parał się młynarstwem, ale był też wziętym kołodziejem. W tamtych czasach mógł całkiem nieźle zarabiać. No i całej rodzinie dobrze się żyło. Natomiast dziadek Józef Łukasik nauczył mnie lokalnego patriotyzmu. Przed wojną służył w 10 Pułku Ułanów. Uczył mnie ułańskich piosenek i żurawiejek. Znał porucznika Stanisława Olizara. Poleciał, abym paliła znicze na jego grobie...

Do szkoły podstawowej Marta Jaworska uczęszczała w rodzinnej wsi. – Miałam to szczęście, że poznałam wspaniałego, przedwojennego nauczyciela, pana Augusta Wójtowickiego. To on przechował historyczny sztandar szkoły powszechnej. Po zmianie ustroju w kraju podarował go naszej podstawówce. Pamiętam jego opowieści o dziedzicach dóbr w Pietkowie. Organizowali swoim zamożnym gościom loterie fantowe albo zachęcali do oglądania scenek teatralnych przygotowanych przez dziatwę. Oczywiście płatnych. W ten sposób zbierano pieniądze na potrzeby szkolne. Dzięki takim inicjatywom dzieci z małego Pietkowa wyruszały na wycieczki krajowe – nad morze i w góry. Wielka w tym zasługa Elżbiety hr. Krasickiej.

Także o historii szkoły nasza gospodyni może opowiadać godzinami. Przecież kiedyś uczyła w tej podstawówce języka polskiego. Ba, była jej dyrektorem.

Nauczycielka z zaproszenia...

– Nie miałam zamiaru zostać nauczycielką – tłumaczy Marta Jaworska. – Od dziecka wiedziałam, że zostanę na wsi. „Kto ma owce, ten ma co chce” – tak mówili nieraz starsi ludzie. No i obmyśliłam, że zostanę... rolnikiem. Tata na wszelkie sposoby próbował wybić ten pomysł mi z głowy. Z kolei ja każdy jego pomysł przyjmowałam ze łzami w oczach – mówi nauczycielka. – Wreszcie zdecydowałam – spróbuję dostać się na historię. Jednak inni mi odradzili. Na AWF też nie miałam szans, bo nie umiem pływać.

– Spotkał mnie nauczyciel Mieczysław Gołaszewski. Wypytał o plany na przyszłość. I ni z tego, ni z owego, stwierdził – Możesz pracować w szkole. Zwolnił się właśnie etat. Dostaniesz pierwszą klasę – objaśnił. – Kto nie uczył pierwszaków, ten nie wie, jakie to nauczycielskie doświadczenie. Pamiętam pierwszą wizytację. Otrzymałam pochwałę, ale też uwagę, którą zapamiętałam na długie lata: Za szybko mówisz – zganił wizytator. – A dzieciaki były wspaniałe. Kiedyś dostałam polecenie przygotowania akademii szkolnej. Tymczasem, tuż przed szkolną uroczystością, dowiedziałam się, że mam jechać na konferencję nauczycieli. Uczeń Karol Kozłowski powiedział: – Niech pani jedzie i się nie przejmuj. Jesteśmy dobrze przygotowani. Akademia udała się znakomicie. Takie to były moje dzieciaki – mówi z nutką dumy.

Z lat minionych najbardziej zapamiętała uroczystość, która miała miejsce w 1989 roku. W szkole zorganizowano pierwszy od kilku dziesięcioleci apel poświęcony rocznicy niepodległości. To wówczas powrócił do społeczności uczniowskiej historyczny sztandar, a patronem szkoły został 10 Pułk Ułanów. Zjawili się chyba wszyscy mieszkańcy Pietkowa – młodzi i starzy. Były też łzy wzruszenia. – Dobrze wybraliśmy patrona – tłumaczy Marta Jaworska. – Przecież to właśnie w Pietkowie, w 1918 roku, powstał ten pułk. Najpierw zjawiał się tylko jeden szwadron kawalerzystów. Krasiccy dali im swoje konie. Żołnierzy wzięli na wikt dworskiej kuchni. Znowu wielka w tym zasługa Elżbiety hr. Krasickiej. A zakwaterowanie zapewnili mieszkańcy wsi. Dobra pietkowskie zostały w 1920 roku poważnie zniszczone przez wojska sowieckie. Dlatego Marszałek Piłsudski przysłał do majątku bolszewickich jeńców wojennych. – Na chwilę milknie – O ułanach opowiem wam w naszym muzeum – tłumaczy. Jednym zdaniem i machnięciem ręką kwituje swoje dyrektorowanie w pietkowskiej szkole. – Nigdy nie nadawałam się na stanowiska kierownicze. Trzeba mieć odpowiedni charakter, umiejętność kierowania ludźmi i radzenia sobie z papieryskami. Nie ciągnęło mnie do foteli kierowniczych – śmieje się pani Marta. – Ale ta funkcja, chociaż krótko ją pełniłam, pozwoliła przeżywać wspaniałe chwile. Gościliśmy wówczas w naszej szkole Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego oraz aktora Janusza Zakrzeńskiego. I wielu innych. Takich spotkań nie zapomina się. – dodaje, spoglądając w stronę szkolnego budynku. I po raz nie wiadomo który zachęca, abyśmy poszli do szkoły. Ale najpierw musimy ją jeszcze nieco przepętać.

Marta kawalerzystka

– Właśnie w 1989 roku zakochałam się w koniach – snuje opowieść Marta Jaworska. – Teraz mam klacz Karmen. Uratowałam ją przed przerobieniem na salami. Ma uszkodzone oko, ale z jednym zdrowym świetnie sobie radzi. A ja z nią – dodaje amazonka z Pietkowa. Nauczycielka z pasją opowiada o konnych wyprawach i ułańskiej fantazji. Cieszy się, że wybrali Pietkowo na swoje kwatery, a w szkole założyli muzeum. – To dzięki nim, ale też i wójtowi gminy – tłumaczy – budynek nie tylko nie popadł w ruinę, ale jest pięknie odnowiony. I nadal tętni życiem – mówi pani Marta. Idziemy więc do szkoły.

Kustoszka bardzo ciekawego muzeum

To nie szkoła, lecz bogato wyposażone muzeum. A pani Marta nie jest tutaj nauczycielką, lecz kustoszem. I zaprasza nas do wnętrza. Od razu wchodzimy w świat epoki minionej, tej sprzed stu lat. Pietkowski pałac hrabiów Krasickich tętnił życiem. Są więc fotografie przedstawiające życie dworskie, ale też Pietkowo dawniej. – Przez wiele lat współpracowałam z redakcją Gazety Łapskiej

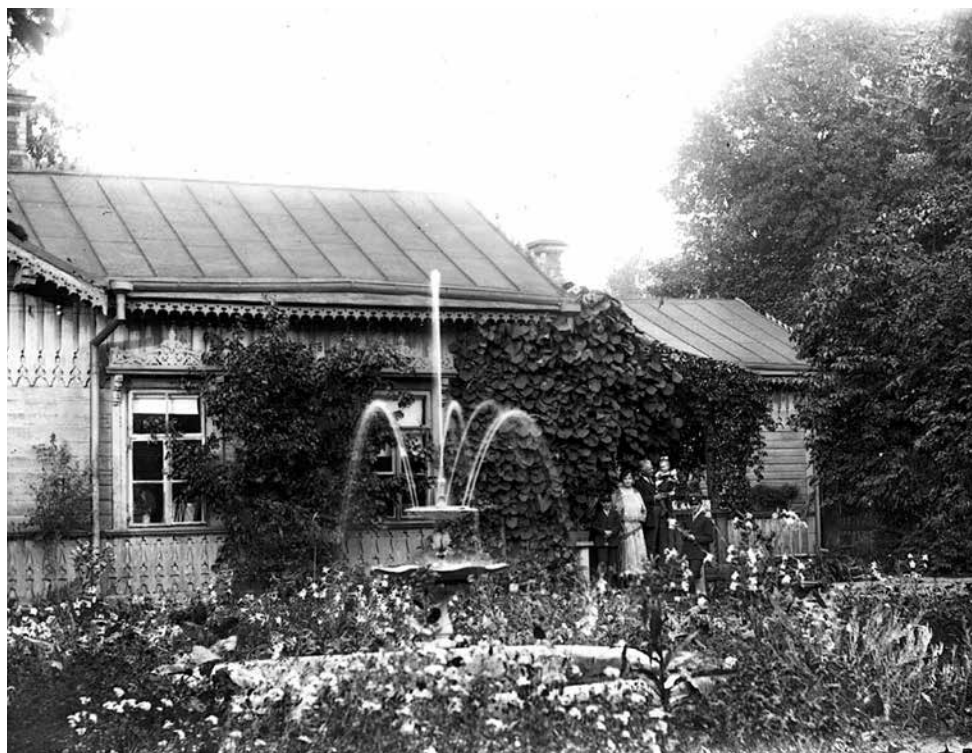
– mówi nasza przewodniczka – Pisałam o gminie Poświętne – jej mieszkańcach i ciekawych miejscach. Docierałam w różne zakątki. Zebrałam nie tylko mnóstwo materiałów, ale także eksponatów. Ludzie z chęcią i ufnością przekazywali i nadal je przekazują do naszego muzeum. Pomagali też moi uczniowie. Uzbierało się więc tego co niemiara – objaśnia pani Marta. Można więc podziwiać piękne stroje pań i panów, a także sprzęty domowe. O każdym eksponacie Marta Jaworska ma do opowiedzenia garść ciekawostek. Umie opowiadać, bo to przecież polonistka z wieloletnim stażem. No i rodowita z Pietkowa. Nasz czas jest jednak ograniczony. Pani kustosz zaprasza więc nas do kolejnej sali. A tam... najprawdziwsze muzeum. Eksponatów jest wielka ilość: lance ułańskie, szable, karabinki, siodła, uprzęże końskie... Są także ciężkie karabiny maszynowe, hełmy wojskowe różnych armii... Ciekawość wzbudza pokaźna kolekcja odznaczeń wojskowych, ale przede wszystkim mundury ułańskie. Pani kustosz jest w swoim żywiole. Sięga po kolejne eksponaty, bierze do ręki, tłumaczy i objaśnia. Niektóre przedmioty są wręcz unikatowe. Marta Jaworska fachowo opowiada o każdym z nich. Widać, że zna się na rzeczy. Historia kawalerii, szczególnie 10 Pułku Ułanów jest jej pasją. I historia rodzinnego Pietkowa. To przecież kobieta z pasją i... ułańską fantazją.

Z ziemi francuskiej na Podlasie

Bronisław Szwarce jest nieco zapomnianą postacią, gdyż historia nie pozwoliła mu zostać bohaterem. Urodził się w 1834 roku we francuskiej Bretanii. Jego ojciec Józef brał czynny udział w powstaniu listopadowym. Po klęsce musiał uchodzić z kraju. Bronisław miał zaledwie 10 lat, gdy zmarła jego matka. Ukończył Centralną Szkołę Sztuk i Rzemiosł w Paryżu. W służbie kolejowej przeszedł wiele szczebli. Francuska firma „Pereir i Spółka” zleciła mu nadzorowanie odcinka budowy kolei z Warszawy do Białegostoku. Od 1860 roku zamieszkał więc w Warszawie. Podjął pracę w Towarzystwie Kolejowym. Wkrótce przeniósł się do podbiałostockiej wsi Antoniuk. Od razu włączył się też do konspiracyjnej działalności przedpowstaniowej. „Bronek”, związany z Centralnym Komitetem Narodowym w Warszawie, był wszechobecny w pracy konspiracyjnej. Organizował wiece, kolportował bibułę, zbierał składki na pomnik carskich ofiar, założył w Białymstoku tajną drukarnię. Gromadził broń dla przyszłego powstania. Zagrożony aresztowaniem przeniósł się do Łap, które znajdowały się w granicach tzw. Kongresówki. Tutaj też zamieszkał w drewnianym domu na terenie parku i nadal nadzorował budowę kolei. Nie przerwał jednak pracy konspiracyjnej. Zaprzyjaźnił się z Jarosławem Dąbrowskim i Zygmuntem Padlewskim.

Redagował czasopismo „Ruch”. Utrzymywał kontakty z białostockim Kołem Czerwonych. W łapskim Depo zorganizował kucie kos i pik. Pisał też wiersze.

*W antonieckim ciemnym gaju
W dworach podlaskiego kraju
Śniła mi się śniła
Polska wolność miła
Białostockie niwy
Narwi trzcinne lasy
Ciche sosny, chwiejne brzozy
Nad Supraślą gęste łązy
Smukły cień topoli
Na piaszczystej roli...*



Dom w Łapach, w którym mieszkał Bronisław Szwarce

W końcu maja 1862 roku, ostrzeżony przez żonę rosyjskiego żandarma Popowa, wyjechał z Łap do stolicy. Tam został przyjęty do Centralnego Komitetu Czerwonych. Jego zadaniem była organizacja tajnych drukarni. Największa z nich znajdowała się w domu jego ciotki przy ulicy Widok. Jej wykrycie przez carską policję stało się bezpośrednim powodem aresztowania Bronisława Szwarce. Przewieziony został do Cytadeli i skazany na karę śmierci. Dzięki interwencji cesarzowej francuskiej Eugonii car zamienił wyrok na dożywotnie zesłanie. Przez 30 lat był więziony. Najpierw w petersburskiej twierdzy, potem w forcie Wiernoje, Tomsku oraz Irkucku. Na daleką Syberię trafił także Józef Piłsudski. Bronisław Szwarce przygarnął młodego chłopca z Kresów i stał się jego nauczycielem w przedmiotach ścisłych. Wprowadzał go także w tajniki historii i polityki. To dzięki przyjaźni z tym słynnym zesłańcem, po powrocie z Syberii, Józef Piłsudski trafił do władz powstającej Polskiej Partii Socjalistycznej. Tymczasem Bronisław Szwarce został ułaskawiony dopiero w 1892 roku. Wracając z zesłania postanowił przejechać się zbudowaną przez siebie koleją z Warszawy do Białegostoku. Potem wyjechał do galicyjskiego Lwowa, gdzie zmarł 18 lutego 1904 roku.



Stacja kolejowa z dworcem I klasy została oddana do użytku w 1862 roku

W maju 1862 roku została uruchomiona linia kolejowa Warszawa – Białystok. W Łapach oddano do użytku piękny dworzec kolejowy I Klasy oraz Depo, czyli warsztat naprawy parowozów. Wokół zaczęło tętnić życie prawie miejskie. W tzw. parku stanął drewniany dom Naczelnika Warsztatów. W nim właśnie krótko mieszkał wspomniany Bronisław Szwarce. W miejscowych warsztatach kolejowych produkowano broń białą. Tutaj też właśnie skupiły się siły konspiracyjne. Wokół Łap rozlokowało się prawie 1800 powstańców, lecz posiadali zaledwie 60 sztuk broni.

22 stycznia 1863 roku Władysław Cichorski – Zameczek zdobył pobliski Suraż, walcząc na czele oddziału złożonego z rzemieślników i urzędników kolei żelaznej „... wszystko ludzi energicznych i prawdziwego poświęcenia dla sprawy narodowej”. Na ich czele do miasteczka wpadł naczelnik Warsztatów Dekert. 23 stycznia 1863 roku oddział powstańczy zdobył stację w Łapach i zniszczył urządzenia techniczne. Maszynista Michał Owsiany porwał parowóz, który został wykolejony niedaleko Szepietowa. Porywacz dołączył do partii powstańczej Kobyłańskiego. Naczelnikiem żandarmerii powstańczej w Okręgu IV został urzędnik kolejowy z Łap Topolski. 11 lipca 1863 roku Feliks Górski z grupą powstańczą zakłócił ruch kolejowy w rejonie Łap. W tym samym miesiącu nieznanemu oddziałowi powstańczemu udało się założyć pod mostem kolejowym w Uhowie minę – beczkę wypełnioną prochem. Jednak patrol kozacki ją wykrył i unieszkodliwił. Do Łap weszły wojska rosyjskie dowodzone przez gen. Zachara Maniukina. Prowizoryczne koszary zostały zbudowane w pobliżu budynku stacji kolejowej.

Uparta patriotka z Łap

Danuta Skibko z domu Grabowska. Spotkałem ją w 1982 roku – mówi Marian Olechnowicz – To były trudne czasy stanu wojennego. Także dla naszej polskiej historii. W Łapach trafiłem na kopalnię wiedzy o przeszłości Matej Ojczyzny. Pani Danuta odważnie, publicznie, z wielkim uporem o niej opowiadała. Instytut Pamięci Narodowej uhonorował ją medalem Świadek Historii...

– Pracowała wówczas w Urzędzie Miejskim w Łapach. Mówi Marian Olechnowicz. – Ucieszyła się z faktu, że jestem nowym nauczycielem historii. Od razu zaczęła się nasza współpraca i... przyjaźń. Wiedziała, jak mnie znaleźć. Już wkrótce zadzwoniła do ogólniaka. Numer telefonu do pokoju nauczycielskiego łatwo było znaleźć. Nie wypadało odmówić kierownicze Wydziału Handlu. Koniecznie chciała opowiedzieć o wizytach Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łapach. I pokazała dom, w którym mieszkał. A potem wskazała na dom stoją-

cy obok. – Tutaj mieszkał Stanisław Łapiński – Nilski – objaśniła. Nic to nazwisko mnie nie mówiło. A powinno. Tak stwierdziła moja przewodniczka spacerów po Łapach. I zrobiła wykład w terenie. Często tak robiła przez wiele kolejnych lat. Pokazała, gdzie w Łapach jest miejsce zwane Sachalinem. Zaprowadziła przed kapliczkę z 1921 roku. Opowiedziała o jej fundatorze. A potem zaprowadziła na Wygwizdowo, gdzie mówiła o niemieckich transportach Żydów do Treblinki. Przykazała też, abym koniecznie opisał to niezwykle kolejarskie osiedle. Drugie, jeszcze bardziej niezwykle, jest w Łapach Osse. Tam też mnie zabrała na wycieczkę i wysłuchanie jego historii. Wciąż prowadziła mnie do ciekawych ludzi. Dzięki niej byłem przyjmowany z ufnością. Czasy zaś były nieufne. Z chęcią przychodziła do ogólniaka, aby spotkać się z młodzieżą. Nie sama. Kiedyś przyprowadziła weteranów – żołnierzy spod Monte Cassino. Innym razem tych, co walczyli w 1939 roku. I jeszcze partyzantów z AK oraz żołnierzy niezłomnych. Miałem to szczęście – żyli oni jeszcze i mieszkali w Łapach lub najbliższej okolicy. Bez wiedzy i znajomości pani Danuty niewiele bym zdziałał.



Danuta Skibko odznaczona medalem Świadek Historii – druga z prawej strony

Było to w 1988 rok

W 1988 roku Marian Olechnowicz trafił, dzięki Danucie Skibko, do Bolesława Kostro. Był on absolwentem uczelni politechnicznej w Petersburgu, ale przede

wszystkim członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. Wśród jego przyjaciół byli także bliscy współpracownicy Józefa Piłsudskiego. Gospodarz nie tylko podzielił się swoimi wspomnieniami, ale też udostępnił bogate archiwum domowe: albumy z fotografiami, osobiste dokumenty i notatki oraz kompletną, przedwojenną, kronikę Koła Racjonalnego Łowiectwa w Łapach. Na koniec spotkania pan Bolesław, wówczas 90-latek, powiedział z nostalgią: Ciekaw jestem, ilu nas – uczestników czynu niepodległościowego jeszcze jest na tym świecie? Pani Danuta Skibko natychmiast podchwyciła tę myśl. W ten sposób narodził się pomysł zorganizowania takiego spotkania. – Zrobimy to w waszym ogólniaku – skwitowała krótko. I obarczyła mnie robotą na cały, kolejny rok. Wkrótce dostarczyła listę prawie 30 imion i nazwisk oraz adresów zamieszkania weteranów czynu niepodległościowego. I poleciła, aby koniecznie dotrzeć pod każdy adres oraz zebrać wszelkie informacje i dokumenty. Wypełniłem polecenie. Uroczystość odbyła się w dniu 10 listopada 1988 roku. Dzięki pomocy Danuty Skibko zostały przygotowane trzy pokaźne ekspozycje: Z dziejów ZHP w Łapach, wyjazdowa ekspozycja eksponatów Społecznego Muzeum Etnograficznego w Suraziu. Jednak sensację wzbudziła wystawa pamiątek z archiwum ppłk. Stanisława Łapińskiego – Nilskiego, które sprowadziła aż z Gdańska.

Na straży historii

W 1989 roku założyła Łapskie Towarzystwo Regionalne im. Ppłk. Stanisława Łapińskiego-Nilskiego. Było jednym z pierwszych stowarzyszeń w naszym regionie. Przez długie lata pełniła funkcję Prezesa. W 1992 roku powstała Gazeta Łapska. Od tego czasu pani Danuta pisała artykuły: o ludziach i miejscach. Wyłącznie historyczne. Mogłaby z tego powstać całkiem opasła książka.



*Danuta Skibko
z aktorem Januszem Zakrzeńskim...*



Kapliczka przy ulicy Długiej w Łapach

Wcześniej pani Danuta, we współpracy z prof. Adamem Cz. Dobrońskim, publikowała w Kurierze Podlaskim. Przywróciła naszej pamięci liczne postacie z przeszłości Łap. Dzięki jej staraniom niektóre z nich stały się patronami ulic: ppłk. Stanisław Łapiński-Nilski, Bronisław Szwarcce, Kazimierz Kamieński ps. Huzar, Władysław Piotrowski, Eugeniusz Niemunis... Dbała o łapskie krzyże i kapliczki przydrożne. Postarała się, aby zostały odnowione. I opisała ich historię. W latach 90. ubiegłego wieku założyła w Łapach Biuro Radia Maryja. Przez wiele lat pełniła w nim cotygodniowe dyżury. Inicjowała wycieczki pielgrzym-

kowe, spotkania modlitewne albo patriotyczne. Jednak jej pasją pozostawała historia regionalna. I tej pasji poświęciła się z... pasją. Postarała się, aby cenne archiwum ppłk. Stanisława Łapińskiego-Nilskiego na trwałe trafiło do Łap. Otrzymany depozyt natychmiast przekazała do miejscowego gimnazjum. Patronem szkoły, dzięki staraniom pani Danuty, został właśnie bohaterski pułkownik. Z wielkim uporem krzewiła pamięć o żołnierzach niezłomnych, a przede wszystkim kapitanie Kazimierzu Kamieńskim ps. Huzar i jego podkomendnym sierżancie Lucjanie Niemyjskim ps. Krakus. Nieraz zasiadała przed mikrofonem Radia Białystok lub kamerą TVP Białystok, aby opowiadać o ludziach i miejscach. Snuła te swoje opowieści bez zająknięcia. I wyłącznie o Łapach.

– Była kobietą upartą – wspomina Marian Olechnowicz – Nieraz wręcz ciągnęła za rękaw. O tym człowieku koniecznie trzeba napisać – tłumaczyła. – Olechnowicz, idź do niego i porozmawiaj. Już was umówiłam. Idź, posłuchaj i ładnie opisz. Albo zabierała mnie w teren. Tutaj jest miejsce nazywane Żalem – tłumaczyła, oprowadzając mnie po Łapach Witach. Innym razem kazała wjechać autem na podwórze przy przejeździe kolejowym. Widzisz te kamienie?

– pytała. To pozostałości po cerkwi. Zawieź mnie przed kościół pw. Św. Piotra i Pawła. Pojechaliśmy. – Obejdz kościół wokół i przyglądaj się uważnie – poleciła. Obszedłem, obejrzałem, niczego ciekawego nie dostrzegłem. – A to co wystaje ze ściany? – pytała, wskazując palcem. I tam, i jeszcze tam. Policz to wszystko i wtedy objaśnię. Ja policzyłem, ona objaśniła. – To łuski po pociskach niemieckich, które trafiły w kościół. I nie wybuchły. Cud? Bez dwóch zdań – cud. Taka to była Danuta Skibko. Dobrze, że Instytut Pamięci Narodowej zdążył ją uhonorować zaszczytnym tytułem Strażnika Historii.

Ostatnie miesiące życia spędziła w białostockim hospicjum. Doglądał ją tam dr Tadeusz Borowski – Beszta, jej rówieśnik i kolega z czasów gimnazjum, a przede wszystkim serdeczny przyjaciel. – Był to dla mnie trudny czas – wspomina Marian Olechnowicz – gdyż mój starszy brat – ojciec potrzebował opieki. Jednak starałem się chociaż na chwilę zajrzeć do hospicjum. Schorowana, cierpiąca, w skupieniu wysłuchiwała moich opowieści o szykowanej książce o Huzarze. Brała mnie za rękę, wpatrywała się z uporem, szepcząc: Musi być ta książka. O Huzarze... Do końca wierna swojej pasji – umiłowania Łap – jej Małej Ojczyzny.

W Łapach...



Pęknięty kamień, jak serca żydowskich kobiet-matek, które w skrajnej desperacji decydowały się na niezwykle ryzykowane ratowanie dzieci. Może nie tylko matek tych maleństw. W wagonach pociągów podążających do obozu zagłady

w Treblince znajdowały się całe rodziny, a więc także mężowie, ojcowie, babcie, dziadkowie, a nawet rodzeństwa tych maleństw wyrzucanych przez okna. Nikt, absolutnie nikt z nas nie potrafi chociaż przez chwilę, wyobrazić sobie stanu uczuć tych nieszczęśliwych.

Jednak to właśnie do kobiet – matek należało ostatnie słowo, a przede wszystkim decyzja. Noworodki, niemowlęta zaledwie kilku lub kilkunastomiesięczne, ratowane przed komorą gazową, miały niewielkie szanse przeżycia. Przecież pociągi nie zwalniały w tym miejscu swojego biegu. Przy linii kolejowej znajdowały się słupy ze znakami kolejowymi, pobocza były strome, porośnięte krzewami, drzewami. W wielu miejscach znajdowały się kamienie. Teren patrolowali Niemcy. To kobiety zapewne opatulaly kołderkami, paltami lub kocykami swoje pociechy. Ostatni uścisk, ostatnie przytulenie. Łzy i rozpacz. Tego nie da się opisać. Dlatego tym bardziej należy o tym pamiętać.

Pomnik – Obelisk: Czuwaj/ Harcerstwo bohaterskim dzieciom polskim/ Kom. Hufca ZHP Łapy, II Hufiec ZHP Białystok Miasto/ 1968

Trasą przez Łapy, w stronę Małkini, potem Treblinki jechały transporty wiozące Żydów na śmierć. W Łapach przed wojną było około 600 Żydów na 4000 mieszkańców. Nie było tutaj konfliktów narodowościowych, czy religijnych. Żydzi zasiadali też w Radzie Miejskiej. W Dzień Zaduszny, 2 listopada 1942 roku miasto zostało otoczone kordonem niemieckiej żandarmerii. Aresztowano wszystkich miejscowych Żydów i wywieziono do getta w Białymstoku. Potem ruszyły z tego miasta duże transporty do Treblinki. Zdarzały się przypadki, że Żydzi wyskakiwali z wagonów przez zrobione w podłodze otwory. Nieraz wyrzucali małe dzieci przez splecione drutem kolczastym okna. Aby je ochronić opatulano nieraz poduszkami. Tymczasem niemieckie patrole Bahnschutzów systematycznie patrolowały linie kolejową. Schwytane ranne dzieci, z licznymi złamaniami kończyn i obrażeniami wewnętrznymi zabijano na miejscu. Rowy kolejowe były wręcz zaśłane bezimiennymi mogiłami pomordowanych Żydów. W 1968 roku, z inicjatywy Jerzego Wrzoska – Komendanta Hufca ZHP Łapy, w rejonie Wygwizdowa stanął obelisk upamiętniający śmierć tych dzieci. Pęknięty kamień – jak pęknięte serca żydowskich matek.

Źródło: <https://www.jewishbialystok.pl/index.php?news=446>

Kochała historię najbliższej okolicy

– Jadwiga, córka Adama Łupińskiego – Ślecha z Łupianki. Nikt tak nie pokochał swej Małej Ojczyzny, jak ona. Nikt nie potrafił o niej tak pięknie opowiedzieć. I w wiersze ułożyć.



Urodziła się na wiele lat przed II wojną światową w Łupiance Starej. Jej matka miała na imię Anna, z domu Łupińska. Przyszła za mężem z pobliskiej Płonki Strumianki. Jadwiga miała dwanaścioro rodzeństwa. Ale troje zmarło wcześniej – wyliczała kobieta – Jednak jesteśmy długowieczni. Dziadek Tomasz żył 95 lat. Jedna z ciotek dożyła 103. Ojciec miał 87. Wszyscy bardzo religijni, bo żyli w sąsiedztwie płonkowskiego cudownego obrazu. Może dlatego też długowieczni, że śpiewaliśmy w chórze kościelnym? – zastanawiała się głośno. Od dzieciństwa chodziła do płonkowskiego kościoła na sumę, nieszpory, gorzkie żale albo drogę krzyżową. Cztery kilometry w jedną stronę. Pieszko. I choć chore, to nogi mam proste – chwaliła się Jadwiga.

W dzieciństwie, od wiosny do jesieni, pała krowy w miejscu zwanym Sękowcem. Chodziła do szkoły z chęcią, bo tam pani uczyła pięknych piose-

nek. W wojnę Niemcy zabrali Jadwigę na roboty w okolice Olsztyna. Doczekała wyzwolenia. Wracła potem pociągami lub pieszo, aby szybciej dotrzeć do domu. I w tym samym roku wzięła ślub. Sięga po zeszyt w zielonych okładkach. Czyta:

*Liście w ogrodzie, liście spadają
Liście w ogrodzie, liście spadają
Już mi ludzie szewca rają
Już mi ludzie młynarza rają
Szewc ciąga skóry zębami do góry
Młynarz z serca kochać nie chce
Nie chcę, nie pójdę, szewca nie lubię.
Nie chcę, nie pójdę, młynarza nie lubię
Już mi ludzie kowala rają
Liście w ogrodzie, liście spadają
Kowal kuje młotem, zalewając się potem
Już mi ludzie rolnika rają
Nie chcę, nie pójdę, kowala nie lubię
Rolnik w polu orze
Dopomóż mu,
Boże! Ja chcę, ja pójdę rolnika lubię...*

Władysław Łupiński, rolnik z Łupianki, także wrócił z przymusowych robót w Reichu. Był schorowany, ale go bardzo pokochała. Po ślubie nazwiska nie musiała zmieniać.

– Pamiętam – wspominała pani Jadwiga – zagrodę rodzinną, drewnianą. Wokół był płot z drewnianych sztachet. Przed domem zawsze rosły kwiaty: maciejka i rezeda. Na niebie nieraz było słychać krzyk przelatujących żurawi, szykujących się do odlotu – We wsi była droga piaszczysta, dobra do dziecięcej zabawy. Przy niej rosły wiązy. Studnie robiono przy drogach, aby konne wojsko mogło brać wodę bez wchodzenia na gospodarskie podwórze. Bywali w Łupiance czasem nawet ułani z Białegostoku. A w pobliskim Sękowcu harcerze z Łap rozbijali obozowisko. Przychodzili potem do wsi po wodę i chleb. Śpiewali nieraz przy ognisku prawie do rana, aż się niosło po lesie. Dobre koleżanki miałam we wsi – mówi Jadwiga – Mariannę Cimaszewską, Marysię i Jadwigę Raciborskie. Moje koleżanki z podwórka i szkolnej ławy. A szkoła była po domach. Jedna klasa uczyła się u Jana Łupińskiego, a druga u Raciborskich. Pismo do dziś mam ładne, wyćwiczone – chwaliła się Jadwiga, pokazując kartki ze swoimi wierszami – Nauczyłam się w dzieciństwie grać na organce. Wygry-

wałam różne melodie ze słuchu, bo zawsze kochałam śpiew. Kiedyś wracałam pekaesem z Białegostoku, z nowymi organkami kupionymi synom pod choinkę. Koleżanka poprosiła, abym zagrała. Grałam więc aż do samej Łupianki, a ludzie siedzieli zasłuchani w moje granie.

Jeszcze przed wojną Jadwiga zamieszkała w murowance, którą zbudował dziadek Tomasz Łupiński.

– Stoi ten dom do dziś, całkiem pusty. Tyle wojen przetrwał. Ze swojego okna go prawie widzę. Przez te lata ksiądz dwadzieścia trumien wyprowadził – mówiła pani Jadwiga – Po ślubie ze wsi poszliśmy na osiedlenie na tę kolonię. Nazywają ją Carem. Przychodzili do nas partyzanci. Gościć się kazali, na nocleg zostawali. Przyszło potem UB i zabrało męża. Dostał trzy lata. Całe palce miał sine. I piąty spuchnięte. Tak go biło UB. Wrócił jeszcze bardziej schorowany. Ale dobry był z niego człowiek – mówiła Jadwiga – I siedmioro dzieci wychowaliśmy. Wszystkie porządne – dodaje.

Na dwunastu hektarach i z gromadką potomstwa roboty Jadwiga miała zawsze dużo. Ale kiedy wyszła na pole, posłuchała ptaków, to zawsze leciała potem do domu szukać ołówka i kartki. Aby myśli w rymy układać. Nie ruszyła się przez te lata z ojcowizny, choć jej rodzeństwo los rozrzucił po świecie. Niektórzy to miejsce nazywają U Ducha. Taki przydomek nam nadali – wspominała.

Syn, który kochał świat

– Może Heniek był przeznaczony na tamten świat? – zastanawiała się pani Jadwiga – Kiedy miał dwa lata, to spadł ze szlabanka. Miał potem bliźnię przez twarz. Popatrzy pan na mnie – mówiła – Mam na swej twarzy bliźnię syna. Z roku na rok coraz bardziej widoczną. Kiedyś Heńkowi przyśnił się zmarły ojciec. Ten przepowiedział, że syn pożyje do czterdziestego roku życia. Miał więc swe czterdzieste urodziny 18 stycznia, a 29 poszedł na tamten świat – mówiła – Heniek był bratem dla całego świata. Wszystko umiał zrobić. Pomagał ludziom, a swą ziemię uprawiał przy księżycu. Kiedyś, na wiosnę, aż dziewięć traktorów wyciągnął z błota. Każdy wiedział, do kogo iść po pomoc. Kochał ptaki. Hodował nawet jastrzębia. Wypuścił go potem na wolność. Ale nadal zbierał mu myszy, jaszczurki. I wystarczyło, aby cicho zagwizdał, a ptak pojawiał się szybko. I koziołka też miał. Plany szykował wielkie. Zbudował stawy, nawożąc czterysta furmanek ziemi. Brzegi obłożył polnymi kamieniami. Wokół zasadził drzewa. I tylko takie, które dają zdrowie. Z kierata zrobił karuzelę. Między drzewami założył huśtawkę. Trzy tódky zbudował. Miejsce jest tak piękne, że aż ślubne zdjęcia przyjeżdżają młodzi robić – mówiła z ożywieniem Jadwiga – A miał takie plany. Chciał dom przebudować, gontem dach pokryć, zwierzynek sprowadzić. Nie ma Henryka. Umierał przytomny do końca. Pytał lekarzy, czy

dużo krwi wy płynęło. Prosił na stole o ratunek, ale po trzech godzinach odszedł ze świata. I tylko na koniec mu łzy po policzkach pociekły – mówiła wzruszona matka. Ale po chwili ożywia się – Na pogrzebie było aż dziewięciu księży. Lubili go wszyscy. Nie ma mojego Henryka.

„Oj synu kochany, jak me serce płacze,

Że ja Ciebie w życiu nie zobaczę.

Miałeś mój synu swój świat: ptaki i kwiaty

A nie pomyślałeś, skąd masz być bogaty.

Przegrałeś mój synu młode lata i pracę.

A moje łzy płyną, bo ciebie już nigdy nie zobaczę”.

Żaden rym nie utuli żalu za synem.

Opowieści pani Jadwigi

– W sklepie powiedzieli, że mieszkam na Carze? – dopytywała pani Jadwiga
– A przecież nasze siedlisko znajduje się w Biernatowym Kącie. Na Carze, tam pod lasem, siedzą Roszkowscy. U Ducha to skraj Łupianki. Mieszkał tam niegdyś Łupiński, trochę dziwak. Czasem nieoczekiwanie zjawiał się w różnych miejscach, jak duch. To kawałek drogi od mojej chałupy. Niech zostanie, że mieszkam na Carze – śmiała się – Tak ładniej. Wokół każdy kąt ma swoją nazwę. Jest więc: Sękowiec, Borki, Kreta, Gołajszyca, Kurany, Dziarnowo, Gaj, Parcyska i Pałki. Za karczami, które widać przez okno, jest Grąd. Pole za oknem nazywa się U Kadłuba. Spamiętać trudno. Jadwiga obiecała, że pójdzie wieczorem do obrazu, bo ten pamięta, czego ona spamiętać nie może. Faktycznie, nazajutrz kazała mi dopisać: Bulbony, Góra Jewa i Pod Durnego Chatą – tak podpowiedział obraz.

Każdy kawałek Narwi ma swoją nazwę: Zdunek, Binduga – zaczynała kolejną wyliczankę gospodyni, starannie, jakby szła w myślach wzdłuż rzeki – Orla Biel, Wielki Dół, Przece Dysiawka, Sapy, Bulbony, Podgrabek, Wyciąglak, Przece Pasiewki, Podbiele, Pul, Kreta, Pasiewki, Grąd, Biernatowy Kąt, Werdzieje Borki, Gołajsyna, Dziarnowo, Kurany. I ogół zwany Parczyskami.

Wojna Kozaków z Uhowianami

W czasach pomoru Łupinianie wymarli. Uratował się tylko Płoński – Kozak, który mieszkał nad rzeką. Ten sam, co postawił pierwszą kapliczkę na Sękowcu. Kiedy wieś się wyludniła, wówczas nadnarwiańskie łąki, za zgodą biskupa łuckiego, wzięli Uhowianie. Czterdzieści działek. Przysłali na dodatek delegację do Kozaka z pismem, aby ten potwierdził ich prawa do łągów nadrzecznych. Miał Kozak dwóch rośłych synów. Sam też był chłop, jak dąb. Chwycił za powróż, którym siano na wozie dociskano, zachęcając chłopców, aby rozejrzeli się za widłami i łańcuchami. We trójkę przepędzili chłopską delegację aż pod same Uhowo. Po drodze zabił Kozak trzech uhowskich gospodarzy. Przepędził też żandarmów

rosyjskich, którzy chcieli zapobiec bijatyce. Rękę miał ciężką i powróż porządny. Uratował honor i łąki. Wrogie wsie pogodziła dopiero pożoga I wojny światowej, kiedy spłonęły posiadane przez Uhowian dokumenty.

W Sękowcu do dziś straszyc. Nieraz w nocy słycać płacz. Można tam czarnego kotka zobaczyć albo pobekujące jagnię. Zwierzęta – jak zjawy – pojawiają się i znikają. Kiedyś przy kapliczce zając z pieskiem harcował, a zimą siwy konik z sankami przeleciał. Cały pięknie przystrojony. – opowiadała Jadwiga, wpatrując się we mnie – wierzę, czy nie wierzę tym jej bajaniom...

Tajemnicze miejsca

– Nowi mieszkańcy postanowili na Sękowcu zbudować drewniany kościół – objaśniała Jadwiga – Stanęły fundamenty, lecz w nocy zapadły się pod ziemię. Na dodatek, choć była pełnia lata, w pobliskiej Płonce spadł obfity śnieg. To był znak Boży. Nowy kościół zbudowano więc w Płonce Kościelnej. Nie tylko las na Sękowcu kryje groby. Cmentarzy wokół Łupianki jest więcej – tłumaczyła Jadwiga – Prosto od Krety leżą wojenni: Ruskie i Niemcy. Pamiętam, jak ludzie wracając z kościoła, przystawali i modlili się. Drugi cmentarz jest w samej Łupiance, na wprost szkoły – u Kutków. Nad Narwią leżą żołnierze z przedostatniej wojny. Na Górze jest pochowanych siedmiu Żydów, których Niemcy zabili.

Kiedyś jechał drogą przez sękowiecki las gospodarz z Łupianki. Nagle koń zatrzymał się i, pomimo okładania chlubą, czyli batem, nie chciał ruszyć z miejsca. Wtem wozak zobaczył leżącą na ziemi figurkę Matki Boskiej. Podniósł ją i przymocował do drzewa. Koń natychmiast stał się posłuszny. W latach 50. ubiegłego wieku Raciborski ufundował murowaną kapliczkę, w której umieścił figurkę Maryi.

Dawno temu przez las przebiegał piękny, kary koń. I to nie raz, nie dwa. Trwało to latami. Wielu ludzi go widziało. Przecinał kłusem polną, piaszczystą drogę i... znikał. Czasem można też było spotkać złocistą karetę zaprzęgniętą w piękne konie. Czy ktoś w niej był? Tego nikt nie wie... Może tajemniczy koń nadal pasie się gdzieś na Sękowcu?

Bajka o Morskim Oknie

Jest za Jamiołkowskimi łąkami, na której wybija źródło nazywane Morskim Oknem. Zresztą takich w okolicy jest więcej. W samym Biernatowym Kącie są cztery, zaś w środku wsi dwa. Na łące ze źródła wypływa struga. Uciekły kiedyś gospodarzowi z obory dwa cielaki – opowiadała Jadwiga – Poleciały prosto na Morskie Okno. Poleciał też za nimi gospodarz. Nagle zatrzymał się zdumiony, gdyż zwierzęta tuż przy źródle zapadły się pod ziemię. Wezwał więc na pomoc sąsiadów. Ci przybiegli z łopatami. Kopali wszędzie, ale bydła nie znaleźli. Nagle wodna fontanna wybiła do samego nieba. I zamieniła się w rwący potok, który

zmierzał w stronę Łupianki. Ludzie przerazili się, że wieś zostanie zatopiona. Cała Łupianka zbiegła się więc do pomocy. Furami zwożono polne kamienie, rzucano je w źródła, z którego woda ciągle wybijała coraz wyżej. Zaczęto zwozić worki z piaskiem. Z trudem wieś przed zatopieniem uratowano. W końcu woda rozeszła się na inne źródła. Po wojnie władza kazała ziemię zmeliorować. Woda w źródłach bije, ale nie tak samo. Kiedyś wiosną wszystkie okoliczne łąki były żółte od kwitnących kaczeńców, a dzieciaki skakały z kępy na kępę, wyszukując ptasich gniazd. Najwięcej ich było na Bulbonach, czyli łące za lasem. Na nią spływała woda ze wszystkich źródeł, a potem do Narwi.

Inne legendy

Pewien Żyd skupował po wsiach barany. Jechał z Płonki drogą przez Sękowiec. Była księżycowa noc. Nagle zobaczył biegnącego czarnego barana. Schwycił go i wrzucił na furmankę. Koń szarpnął do przodu, ale fura ani drgnęła. Dziwne, bo przecież baran to nie ciężar. Chciał Żyd zdobyć zdjąć z wozu, lecz ta była za ciężka. Pobiegł więc po pomoc do pobliskiej Płonki. Wrócił z gromadką chłopów. I zdziwili się wszyscy, gdy zobaczyli wóz wiszący na drzewie, zaś po koniu i baranie śladu nie było.

Jechał konno mieszkaniec Płonki tą samą drogą, którą przemierzał wspomniany Żyd. Mijał go jeździec bogato przyodziany. Dosiadał rumaka ze wsporną uprzężą. Panowie ukłonili się nawzajem, zatrzymali i porozmawiali. Nagle obcy zaproponował zamianę koni. Uradował się Płonkowiec z takiego handlu. Wrócił do domu, zawołał żonę, aby pochwalić się nabytkiem. Jednak ta zamiast pięknego rumaka ujrziała młodą brzozę, której tu wcześniej nie było. Zasepiony gospodarz ruszył w stronę Sękowca. Tam odnalazł pasącego się spokojnie swojego konia...

Jadwiga chwyciła mnie za rękaw. – Tylko jeszcze jedną historię opowiem – powiedziała. Siadłem więc na krześle.

– Mieszkał w Płonce muzykant, skrzypek – mówiła z przejęciem – Zaprosili go do Bokin, aby zagrał na ostatki. O północy potańcówka się skończyła. Wracił nocą grajek przez sękowiecki las, ale skrócił sobie nieco drogę, brnąc przez polną zmarzlinę. Nagle ziemia zapadła się mu pod nogami. Wpadł do... wilczego dołu. Zdążył tylko skrzypce unieść wysoko nad głowę, aby uratować cenny instrument przed zniszczeniem. Z trudem wzrok przyzwyczajał do ciemności. Nagle muzykant wyczuł, że nie jest sam. Coś się poruszyło w drugim końcu głębokiej pułapki. Usłyszał pomruk ni to psa, ni to... Z przerażeniem zrozumiał, że za towarzysza niedoli ma wilka. Chwycił więc za skrzypce i zaczął grać. Jednak w mrozie struny pękały jedna po drugiej. Została ostatnia. Chuchał na nią, grał wolniej, a wilk siedział na tylnych łapach wpatrzony, a może wstuchany. Nagle

struna pękła, ale w tym samym momencie nadeszła pomoc. Grajka z dołka wyciągnął spóźniony przechodzień. Wilk pozostał w dole...

To już ostatnia opowieść, którą spisałem Nie znam innych – mówiła gospodyni przeczuwając, że dłużej mnie już nie zatrzyma.

Ale obiecała, że pogada z obrazem. Ten może przypomni kolejną baśń. Przyjedzie pan jeszcze? – pytała z nutką nadziei. Obiecałem. W drodze powrotnej zatrzymałem się przy sklepie. Byłem u Jadwigi – powiedziałem sprzedawczyni – Jak jej zabraknie, to kto o wsi opowie? – zapytałem. Nikt – odpowiedziała bez wahania. Dobrze więc, że byłem u Jadwigi z Cara. Niejeden raz.

Opracowanie: na podstawie notatek z archiwum Mariana Olechnowicza

Patriotyczny ród

Symbolem patriotycznej postawy podlaskiego ziemiaństwa jest rodzina Kobylińskich, herbu Prus II z Zalesian położonych 15 km od Białegostoku. Ród objął te dobra w posiadanie w XVI wieku. W XIX wieku mieli prawie 400 hektarów gruntów.

Gospodarzem Zalesian był wówczas Wiktor Kobyliński, a po nim na ojcowiznie osiadł jeden z jego synów, Kazimierz. Starszy syn Tomasz dostał pobliskie Horodniany. Obaj bracia, jeszcze przed wybuchem powstania, zaangażowali się w nurt konspiracji niepodległościowej, зараżając patriotyzmem swoich synów. Najaktywniej działał Kazimierz, który stanął do walki zbrojnej, tworząc oddział złożony z członków swojej rodziny i okolicznej drobnej szlachty. Starszy brat Tomasz nie wstąpił do leśnych, gdyż wiek mu na to nie pozwalał. Walczyli jego dwaj synowie: Adolf i Edmund. U boku Kazimierza w bój poszli również jego synowie: Adolf i Konstanty. Nie byli to jedyni przedstawiciele tego rodu w powstaniu styczniowym. Oddziały powstańcze zasilili: zięć Kazimierza Rafał Korycki i siostrzeniec Adolf Nowosielski. Starszy syn Kazimierza wstąpił do oddziału ojca mając już bojowe doświadczenie. Wcześniej walczył pod wodzą Konstantego Ramotowskiego „Wawra”. W oddziale ojca został jego adiutantem. Kazimierz Kobyliński miał wrodzoną intuicję i talent dowódczy. Potrafił „zarazić” patriotyzmem okoliczną młodzież, która chętnie wstępowała do twórczonego przez niego oddziału kawalerii. Jednak zawsze robił selekcję, uznając iż nie każdy człowiek nadaje się do wojaczki. A czasu na szkolenie było niewiele. Ten dowódca cieszył się wielkim autorytetem wśród żołnierzy. Darzyli go ogromnym zaufaniem i bezdyskusyjnie wykonywali wszelkie rozkazy. Jego oddział prezentował się bardzo dobrze. Umundurowanie było jednolite. Składały się na nie: kurtka z niebieskimi wyłogami, spodnie z lampasami w takim

samym kolorze i niebieska czapka z trupią czaszką. Dodatkowo żołnierze wyposażeni byli w brązowe burki. Oddział miał własną chorągiew z wyobrażeniem globusa. Kazimierz Kobylański pierwszą bitwę stoczył pod Waliłami w dniu 29 kwietnia 1863 roku. Dowodził oddziałem rezerwowym złożonym z kosynierów wydzielonych ze wszystkich kompanii. Powstańcy ponieśli klęskę, a wśród rannych znalazł się Adolf Kobylański. Kiedy do Kazimierza dotarła wieść, że jego zięć Rafał Korycki został pojmany przez Kozaków, podjął decyzję o odbiciu go z więzienia w Różanie. Ruszył tam z oddziałem kawalerii liczącym 56 konnych. Rozbił tamtejszą załogę rosyjską, zdobywając 23 karabiny, dwie dubeltówki i dwa pałasze. Okazało się jednak, że dzień wcześniej Koryckiego przewieziono do więzienia w Białymstoku. Kobylański już następnego dnia został wysłany na zwiad. Po drodze natknął się na kolumnę wroga i po krótkiej wymianie ognia zarządził odwrót, kierując się w stronę obozu. Podążający za nim pościg spotkał się z ostrzałem partyzantów. Rosjanie ponieśli dotkliwe straty. Po stronie polskiej był jeden zabity i trzech rannych, wśród których znalazł się Adolf Nowosielski- siostrzeniec Kobylańskiego. Po bitwie, dowodzący partyzantami Walery Wróblewski, podzielił oddział na kilka mniejszych, a Kazimierz na czele swojej kawalerii ruszył w stronę Strabli, później zaś leśnymi duktami podążał na Topczewo. W okolicznych dworach udało mu się zdobyć dwadzieścia koni.

W Wólce Markowej doszło do połączenia trzech oddziałów konnych – Kazimierza Kobylańskiego, Michała Kwapiszewskiego i Franciszka Górskiego. 140 jeźdźców miało zakłócać transport kolejowy na trasie Białystok – Łapy. W folwarku Puchty partyzanci zostali zaatakowani przez piechotę i stuosobowy oddział konny. Po odparciu ataku konnicy Kobylański ze swoimi ludźmi ruszył w kierunku Białowieży, omijając sotnie Kozaków przeczesujących lasy. Po dwóch tygodniach wyczerpującej wędrówki partyzanci dotarli w okolice Tykocina. Kazimierz, ze swoim sztabem, rozlokował się w Rzędzianach, gdzie zajęto kilka domów. Spokój nie trwał długo, bowiem 12 sierpnia 1863 roku, o świcie, uzbrojeni robotnicy niemieccy z fabryki Moesa w Choroszczy, wspierani przez rosyjskich żołnierzy, zaatakowali Rzędziany, szukając powstańców. Ci jednak zostali w porę ostrzeżeni i zdążyli ukryć się na drugim brzegu Narwi. W akcie zemsty wieś została zrabowana i zniszczona. Kobylański wydał rozkaz zwołania wszystkich rozproszonych żołnierzy oddziału, po czym znowu ruszył do Tykocina. Po drodze dołączyli nowi ochotnicy, więc zaczęło brakować koni. Kazimierz wysłał trzy grupy w celu zdobycia zwierząt pociągowych. Sam zabrał Moesowi z Choroszczy 24 konie. Oddział przemieścił się na Kurpiowszczyznę. Wieść o partii powstańczej Kobylańskiego niósła się szeroko. Wyznaczono nawet tysiąc rubli nagrody za wskazanie miejsca jego pobytu. 12 października

1863 roku, pod Księżpolem, żołnierze Kobylińskiego starli się z rosyjską kolumną mjr. Chrobiewicza. Straty Rosjan były wielokrotnie większe, co rozwścieczyło wroga. Rosjanie podjęli próbę otoczenia i zniszczenia powstańców. Bezskutecznie. Kobylińskiemu, mającemu wówczas pod sobą trzystu żołnierzy, udało się ująć pogoni i przedostać w lubelskie. Tam powstańcy zostali wyparci z lasu, a Rosjanie podjęli pościg. Dwa dni później zmuszeni byli stawić czoła dwukrotnie większym siłom wroga. Ponieśli znaczne straty. Mimo tego, na rozkaz Adama Andrzeja Zielińskiego, oddział ruszył na pomoc partyzantom w kierunku Mieni. Po ciężkich bojach i długiej podróży – z marszu musiał przystąpić do bitwy. Wobec przeważających sił wroga zarządzone odwrót. W pogon za Polakami ruszyli rosyjscy dragoni i Kozacy. Zmęczone nocną jazdą konie nie wytrzymały tempa. „Pędziłem przy Kobylińskim, razem z jego synami. Był ranny w bok. Podtrzymywaliśmy go na koniu i dalej uciekali. Przyłączyło się do nas jeszcze kilkunastu partyzantów, ażeby pomóc w uprowadzeniu naczelnika. Dragoni ciągle strzelali, a my nie mogliśmy rozwinąć szybkiego biegu. Wtem padł koń Kobylińskiego. Już nie podniósł się. Wsadzić naczelnika na innego konia nie zdołaliśmy. Był tak osłabiony, że nie mógł dźwignąć się. Zdołał zwrócić się do synów i słabym głosem powiedział: Ja tu zostanę, a wy – ojcowskim prawem rozkazuję: Ratujcie się! Dragoni pędzili na nas ze wzniesionymi szablami [...] Tak ponieśliśmy największą klęskę w dziejach naszej partii”. Następnego dnia synowie Kazimierza, przebrani za miejscowych chłopów, odnaleźli ciało ojca na pobojuwisku. Tak jak żył, tak został pochowany – razem z innymi powstańcami, we wspólnym grobie. Synowie Kazimierza po śmierci ojca już nie wrócili do oddziału. Do marca 1864 r. ukrywali się w dworze Karskie na Podlasiu.

Rówieśniczka Niepodległości

Marian Olechnowicz dobrze zna nasz region. Jest historykiem, który od kilkudziesięciu lat spisuje dzieje Małych Ojczyzn. Nie lubi historii naukowej, lecz uwielbia mówioną. Czyli opowiedzianą przez ludzi. W swoich wędrówkach trafił kiedyś do Zalesian...

Panią Reginę łatwo było odnaleźć. Jej dom ładnie zdbany, na podwórzu rosły kwiaty. Kobieta była ubrana czysto, starannie. I gościnnie zaprosiła do domu. W kuchni stał stary, kafłowy piec. Pod ścianą drewniana komoda, obok niej maszyna do szycia Singer. Na parapecie kwitły pelargonie.

– Urodziłam się 11 listopada 1918 roku roku. – mówiła z dumą gospodyni– Tuż za tym płotem stał dom Kalinowskich, czyli moich rodziców. A dalej miesz-

kał Mojżesz z rodziną. Mój ojciec Stanisław pracował w majątku, ale czasem dorabiał u niewodnickiego księdza Dowbora. Zmarł młodo na tyfus szalejący na naszych ziemiach po wojnie światowej.

Pani Regina za młodu pracowała w dworskiej kuchni. Nauczyła się też krawiectwa.

– Uczyła mnie Weronika, moja sąsiadka – tłumaczyła Regina – Po wojnie łatwiej było kupić materiał, niż gotowe ubranie. Krawiectwem pomagałam mamie w naszym utrzymaniu. Biednie przecież było.



Jadwiga Drozdowska- rówieśniczka naszej niepodległości

Sąsiedzi

– Jeszcze przed wojną jedną z działek, około 1,5 ha, kupił Żyd z Białegostoku – tłumaczyła pani Regina– Nazywał się Mojżesz Żagier. Wkrótce na niej wybudował skromny dom: mały budynek gospodarczy, w którym zamieszkał z rodziną – żoną Szyfrą i trojgiem dzieci. Byli więc naszymi sąsiadami.

Od okolicznych rolników Mojżesz skupował mleko i woził do Białegostoku, a żona i córka roznosiły po domach. Zadowoleni byli z takiego handlu rolnicy z Zalesian. Jednak Mojżesz zmarł tuż przed wybuchem II wojny światowej.

Za okupacji sowieckiej rodzina Żagier żyła spokojnie, nie angażując się w politykę. Gehenna rozpoczęła się po wejściu Niemców. Tymczasem Żagierowie przeszli na katolicyzm, przy okazji zmieniając nazwisko na Żagierowicz. To nie była próba ratowania, lecz świadomy wybór. Oni widzieli, jak bardzo Regina i jej mama są religijne. Nie tylko w modlitwie, ale też w życiu. Jednak w roku 1942 ta żydowska rodzina została aresztowana.

– Mariana nie było wówczas w domu – opowiada pani Regina – Pracował w Markowszczyźnie. Dobrzy sąsiedzi natychmiast powiadomili go o tragedii, więc zaczął się ukrywać. Najpierw na plebanii w Niewodnicy. Ludzie we wsi też go ukrywali, karmili, ubierali. I wojnę przeżył. Często odwiedzał nasz dom. Jego brat Daniel jeszcze przed wojną wyjechał do Palestyny. Matkę i siostrę Salomeę hitlerowcy wywieźli do Treblinki – opowiadała pani Regina. – Dobry był z Mariana człowiek. Dlatego ludzie mu pomagali. Ale był też w Zalesianach zły Polak, który wysługiwał się Niemcom. Chciał Mariana wydać w ręce gestapo, ale mu się nie udało.

Wojenna miłość

Regina była skromną, pracowitą dziewczyną. Przed wojną pracowała w majątku Łoskiejtów jako pomoc kuchenna. W czasie okupacji pomagała mamie w prowadzeniu gospodarstwa.

– Któregoś dnia, już po wyzwoleniu, Marian zapukał do naszego domu i poprosił, aby go mama przyjęła. Własnego domu ani rodziny nie miał. Mama go przyjęła. Zamieszkał więc w naszym małym domku. Sympatyczny był to chłopak – wspominała pani Regina – Greczny, skromny. Któregoś dnia powiedział, że niedobrze jest, że on tak mieszka z nami. Bo jestem młodą dziewczyną, zaś on kawalerem. Ludzie we wsi zaczynają plotkować. Zaproponował, abyśmy wzięli ślub. Podobał się mnie, chociaż wiedziałam, że był mocno schorowany.

Marian oświadczył się i jeszcze w 1944 roku zostali małżeństwem. Ich szczęście nie trwało zbyt długo, bo przeżycia wojenne odbiły się na Mariana zdrowiu. Zmarł w lipcu 1945 roku. Dwa miesiące później Regina urodziła syna, któremu dano imię... Marian. To dziecko również wkrótce zmarło.

– Może Bóg tak chciał- mówiła ze smutkiem pani Regina.

Po wojnie wspomniany żandarm z Zalesian został aresztowany. Trafił na dwanaście lat do więzienia. W 1947 roku Regina wyszła powtórnie za mąż. Życie sobie ułożyła. Ale ten gestapowski agent doczekał wolności i wrócił do rodzinnej wsi.

– Nieraz mnie dokuczał, groził- wspominała pani Regina- Od dziecka był złym człowiekiem. Przed wojną zamordował na drodze Żyda jadącego na targ do Sokół. Głowę mu odciął stalowym drutem. Furmankę z trupem znaleźli chłopcy


aż pod Bokinami. Jednak mieszkańcy wsi stanęli w obronie pani Reginy. I tego człowieka ze wsi na dobre przepędzili...

Regina Drozdowska dożywała swych dni w rodzinnych Zalesianach. W jej domu zawsze było czysto i schludnie, zaś wokół domostwa pełno było kwiatów. Bo Regina kochała porządek i kwiaty. Prawie codzienne zaglądał do niej syn... Marian. Takie mu imię dała – na pamiątkę. Znał historię małżeństwa swojej mamy. I tym bardziej ją szanował.

Pani Regina doczekała szczęśliwie 12 wnuków i 18 prawnuków.

Zmieniają się szybko podbiałostockie Zalesiany. Przybywa nowych mieszkańców. Tylko ci starsi, rodowici pamiętają swoją sąsiadkę – kobietę, która była rówieśniczką niepodległej Polski. W 2007 roku Tomasz Wiśniewski, za namową Mariana Olechnowicza, trafił do domu pani Drozdowskiej w Zalesianach i nagrał film. Warto go obejrzeć:

<https://www.youtube.com/watch?v=cujtwGDE8xY>



*2023 i 1863. Dwie daty
spinające ważną rocznicę*

– 160. lecia wybuchu powstania styczniowego.

*Dobry to był pomysł, aby w tym roku wyruszyć
w miejsca potyczek i bitew powstania styczniowego.*

Mapa Podlasia jest nimi usiana. I nie trzeba ich szukać daleko.

*Wszystkie są zadbane,
więc pamięć o bohaterach z tamtych lat nadal jest żywa.*

*To dobrze. Kto tam był, ten nie tylko zadumał się nad naszą historią,
ale też zachwycił się krajobrazem. I arcyciekawymi zabytkami.*

*Naszym celem było odnalezienie postaci kobiet,
o których nie tylko warto, ale przede wszystkim należy napisać.*

Znowu bez trudu znaleźliśmy takie postacie.

*Bo takie jest właśnie nasze Podlasie – z piękną historią
i krajobrazem oraz niezwykle wartościowymi kobietami.*

1863

My – na szlakach powstania styczniowego 1863 roku

